



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Aug. Eug. Mužik.

### VOX DEI.

Przełożył z czeskiego **MIRIAM.**

Rzekł Bóg do piewcy:

Się ducha

Ci daję, cząstkę Siebie.

Idź tam, gdzie ziemia czeka głucha,

Tam wieść jej nieś o niebie.

Idź, bo mi ciebie tam potrzeba;

Kapłanem bądź na ziemi.

Idź! Zpośród duchów mego nieba

Tyś wybran nad wszystkimi.

Bądź silnym! Wiele daję tobie,

Jako Bóg tylko dawa;

Nie zginie imię twoje w grobie:

To klątwa twa i sława!

Za lat tysiące człowieczeństwo

Twe imię wspomni jeszcze;

Klątwa to, czy błogosławieństwo—

To wiano twoje wieszczce.

O, słuchaj głosu, który-m tobie

W głąb serca złożył w darze,

A żywy popęd w każdej dobie

Prawe ci czyny wskaże.

Wszystko ci dałem, ty znów przecie  
Wszystko swej oddaj braci;  
Bądź jako jabłoń, której dziecię  
Za owoc ciosem płaci.

Niech wiara twa, jak błyskawica,  
Lśni, z grobu innych wskrzesza;  
Miej, na śmierć idąc, jasne lica,  
A pójdzie z tobą rzesza.

Rzuć serce w proch! Tłum, co przechodzi  
Niech zdepcze je! niech ginie!  
W krwi jego ludzkość się odmłodzi,  
Odrodzi w nowym czynie.

Przed ludem naprzód idź szlachetnie,  
Świeć myśli pełnią całą;  
Gdy przepaść nagle drogę przetnie,  
Mostem twe będzie ciało!

Nie złożysz w ziemi obiecanej  
Swey głowy do spoczynienia:  
Tak z drzew kwiat pada, wiatrem zwiany,  
Gdy w owoc się zamienia.

Lecz grób twój tak zasłynie wszędzie,  
Jak świątyń moich roje;  
Do nowych ofiar on wieść będzie,  
Na nowe krzepić boje.

On wieszczbą będzie, duchem czystym,  
Co tajnie lat rozsnuwa,  
A wrogom—mieczem płomienistym,  
Bo pomsta ma w nim czuwa.

### KSIEŻNA IZABELLA.

(Dalszy ciąg).

Miała Izabella dopiero lat szesnaście, kiedy już zaczęto myśleć dla niej o mężu. Nie szukano go daleko. Arystokratyczny ród, który podczas sporu o Ordynacyą Ostrogską dał już Rzeczypospolitej poznać swą potęgę zerwaniem sejm (1752 r.), chciał w następnych pokoleniach wzmożnić się jeszcze bardziej na raz zajętem stanowisku, a do tego potrzebował jaknajwiększej fortuny. Była ona już wtedy kolosalną. Książę kanclerz nie miał synów, brat jego miał jedyńka: na radzie familijnej postanowiono wydać wnuczkę kanclerską za 27-letniego Adama Kazimierza, syna wojewody Augusta. Miało to więc być małżeństwo między wujem pobocznym a siostrzenicą. Jerzy Fleming, oczywiście, uważać musiał dla swej córki taką partya za świetną. Pomimo wszechstronnej zgody, małżeństwo przecież napotkało przeciwności. Rodzony syn późniejszej księżny Adamowej opowiada, że przed ślubem matka jego dostała ospy, zaraziwszy się nią od dzieci wiejskich, i do ołtarza stanęła ze świeżemi jeszcze bliznami, czerwona, szpetna. „Później przecież wyładniała i była jedną z najpiękniejszych kobiet.“<sup>1)</sup>

Ślub odbył się w r. 1761 w Wołczynie; błogosławieństwo kościelne dawał brat obu możnowładców Teodor, Biskup Poznański. Po ślubie państwo młodzi wyjechali w podróż po Europie. W podróży tej ujawniło się, prócz wadłości zdro-

1) Mémoires et correspondance, Paris 1887 T. I.

wia, jeszcze i dziwactwo młodej mężatki, będące zarówno skutkiem silnego rozstroju nerwowego, jak i niedość starannego wychowania. Zobaczymy, że podróż sama była bardzo zajmująca.

Nie było jeszcze wówczas kłatek zwanych przedziałami w wagonach. Księstwo Czartoryscy wyruszyli za granicę czterema powozami, za którymi szły jeszcze dwie ładowne bryki. Do Frankfurtu nad Menem wjechała księżna przebrana za mężczyznę, i to jeszcze za wojskowego. Ponieważ Nadmeńscy spodziewali się w tym samym czasie przyjazdu królewicza duńskiego<sup>1)</sup>, który po kobiecemu wyglądał, wzięli więc bez trudu orszak magnata polskiego za orszak królewski — i nuż wysłać deputacje, palić mówki powitalne, zanosić prośby. Zabierano się już nawet do iluminacji. Jakaś kobieta padła do nóg mniemanego królewicza, błagając o łaskę dla brata. P. Dębicki zapewnia, że nie pomogło wywołanie się księcia posiadaniem dowodami i dopiero przywrócenie praw właściwemu ubiorowi wprowadzić miało mieszczan frankfurek z błędu. Jestto drobiazg; ale prawdopodobniejszem będzie przypuszczenie, że oboje nowożeńcy chcieli się kosztem Niemców zabawić. Niepoprawna w noszeniu mundur, w dalszej podróży prócz uciechy miała sposobność zebrać i naukę, która tym razem już nie poszła w las. Biograf Czartoryskich rzuca dyskretnie zasłonę na szczegóły. W dzisiejszym „Polizei-Staat” podobna mistyfikacja dla zabawy byłaby niemożliwą. Przebija się w niej oryginalny rys wieku.

W Paryżu byli u Księżny Orleańskiej. Młoda podróżniczka na kolacyi w Palais Royal, ujęła się za swoim krajem, o którym jakaś ograniczona Francuzka wyrażała się jakby o niedźwiedziej kniei. Przy *trente et quarante* matka tej damy zaproponowała księżnie Izabelli grę do spółki. „Prenez garde, car ma mère triche” — zawołała p. Clermont. Za tę przestrożę surowo ją siedm-nastoletnia pani Adamowa skarciła: „Na Litwie, dzieci zjadane przez niedźwiedzie nie powidziałyby nic podobnego o swej matce.” Trzpiotowatość zatem nie pochłaniała zupełnie powagi. Pani Geoffrin, widziana później w Warszawie, nie sprawiła dobrego wrażenia; nie lepsze wyniosła księżna z odwiedzin u Rousseau'a. Uprzedzona o słabostkach wielkiego człowieka, przyszła już z gotowymi miniaturami na tle *Nowej Heloizy*. Rousseau oczekiwał jej odwiedzin, przyjął ją jednakże oziębło. Wszedłszy, nie śmiała ust otworzyć, drżała przed ogromem wiedzy. „Stary był brzydki, miał olbrzymią perukę i grubą żonę.” Siedział na łóżku i krzychał, jakby był sam głuchym i do głuchych przemawiał. Wtedy jeszcze nie miała ks. Izabella najłżejszego nawet pojęcia o dziełach i umyśle Jana Jakóba, później dopiero z zajęciem go czytywała.

Z Paryża do Londynu. Tu poznali państwo Czartoryscy Franklina. Głośnym on już był wtedy w świecie ze swych odkryć fizycznych i wielkiego rozsądku, głośnym i z wielkiego zaufania, jakiego używał u swych współobywateli, i z powagi, jaką posiadał u Anglików. Zachodził już w sześćdziesiątkę; od kilku lat bronił przed rządem interessu Pensylwanii i trzech innych Stanów. Dopuszczano go na posiedzenia parlamentu i słuchano tam jego objaśnień. Takiego człowieka nie poznać, byłoby grzechem — dla księcia, ale nie dla księżny, bo ta przyznaje się, że zaledwie podówczas wiedziała, iż jest druga półkula. Rozdrażnienie jej nerwów po przybyciu do Londynu zaostriżyło się w melancholię. Żegnała się już ze światem, pisała ostatnie listy, sporządzała testament. Opanować ją musiała bijąca w oczy apatya. Uderzyła ona i Franklina. Oto co znajdujemy w pamiętniku księżny o wizycie u patrioty amerykańskiego: „Franklin miał twarz szlachetną z wyrazem ujmującej dobroci. Zdziwiony moją „nieruchomością,” ujął mnie za rękę i wpatrywał się we mnie, mówiąc: „Pauvre jeune

femme.” Potem otwarł harmonium, usiadł i grał długo. Muzyka wywarła na mnie silne wrażenie, potoki łez popłynęły z oczów. Wtedy Franklin usiadł przy mnie, patrzył ze współczuciem i rzekł: „Jesteś pani uleczona.” Rzeczywiście chwila ta była reakcją w w stanie mojej melancholii.” Później lekarz, leczący muzyką, stał się nauczycielem; wzięła od niego podróżniczkę dwa-naście lekcyi na owem harmonium, które musiało być prostym klawicybałem.

Po powrocie z zagranicy lata całe mijają na zabawach, strojach, na trzpiotowstwie i beznamiętnem korzystaniu z obfitych darów losu. Macierzyństwo tylko przerywa ten nałóg, jakby pijaństwo, niczem nieokielzany. Pierwsze dziecko rodzi się dopiero w r. 1765, ostatnie w lat trzy-naście później; wszystkich jest pięcioro — trzy córki i dwóch synów. Kochać swe dzieci — jest to tylko nie uciekać od nich; dlatego miłość macierzyńska księżny Izabelli w owej epoce, choć się objawiała rzetelną starannością w nadzorze, nie ma przecież żadnej zasługi. Małżeństwo przebywa bądź w Wołczynie lub Różance pana Fleminga, bądź w Warszawie, w słynnym Pałacu Błękitnym, który August III w ciągu trzech tygodni dla pani Orzelskiej wystawił. Dziś ten dom należy do Ordynatów Zamojskich; wówczas służył za rezydencją dla starego kanclerza. Pod Warszawą mieli Czartoryscy posiadłość zwaną Powązkami<sup>1)</sup>. Tutaj, naśladowując dwór i arystokracją francuską, księżna Izabella urządziła sobie małe Petit-Trianon i miała w niem letnią rezydencją dla całego swego domu. Wejźmy do tego ustronia. Każde starsze dziecko, każdy stały rezydent posiada swój osobny domek, wyglądający na ubogą chatkę, a nad drzwiami jej wyobrażenie jakiegoś przedmiotu, symbolizującego charakter lub zajęcie posiadacza, i odpowiedni napis. Przed domkiem ogródek, który każde dziecko z obowiązku uprawiać musi. Drzewa oceniają tę arkadyjską osadę. Strumyk szemrze po kamkach. Gaiki dają wytchnienie piersiom zmęczonym a sytość spragnionemu sielskich rozkoszy oku. Nie zaniedbano niczego, co do stylu należy; są i sztuczne ruiny skały i łuki; nie braknie obórek i szaletów górskich; ryk krów, bek kóz, świadczy o urzeczywistnionej sielance. Tu około r. 1780, stałe przemieszkuje miękki Książnin, wzięty do kancelaryi Kommissy Edukacyjnej przez męża księżny Izabelli; kocha się w niej biedak przez całe życie do upadłego, upada też, bo waryuje. Tu inny Korydon, malarz Norblin uwiecznia pędzlem całe to cacko zwiedzane przez *tout Varsovie*. Król nawet ustronie to nierzadko bytnością swoją zaszczyca. W Powązkach odbywają się kawy, podwieczorki, kolacje, dialogi z komedyi i tragedyi, oczywiście francuzkie, bo język francuzki przeważnie panuje. Wieczorem wspaniałe ognie zakończają festyny. Księżna Radziwiłłowa, zachwycona, wprowadza u siebie Powązki księżny Izabelli na scenę. Trembecki komponuje umyślny poemat; zachwyt swój nad wspanialszą od innych chatką samej księżny wypowiada w dwuwierszu:

Jego niewinna zdrada zadziwienie czyni;  
Wierzch podobien do chaty, środek do świątyni

i przysięga, że gdyby był astronomem a odkrył nową jaką konstallacją, dałby jej niezawodnie nazwę: „Izabelli stopy.”

Prawdziwie, serce gniewem się zapala, iza ciśnie się do oka, gdy przyjdzie pomyśleć: jakie to uciechy wyprawiał los narodowi, podczas tych wszystkich sielskich rozkoszy! Lekkość, wietrznictwo, płytkość, nawet w złem, srożej się dawały we znaki ówczesnemu życiu dziejowemu, niż

właściwe zepsucie obyczajów, które jeden wiek drugiemu zbyt lekko wyrzuca, niepamiętając o własnych swych winach. Zostawmy na boku zepsucie: skala życia była wówczas tak małą, że to samo już wystarczyć powinno dla historii. Ludzie mający wyższe cele i trudy stanowili wyjątki. Za Sasów bezmyślność grasowała, jak dżuma, inteligencya puściła się była na lekki chleb pozwalania lub niepozwalania na wybryki możnowładców, którzy rzecz publiczną trzymali uwięzioną w szufladach swych biurów. Z mozołem wielkim wydobywać się musiała świadomość na wierzach z tej toni beznamiętnej zmysłowości — w jaką, nie nadmiar, ale brak rzeczywistych żądź i rzeczywistej praktyki praw politycznych wtrącił był powszechność narodowa. Arystokracja, jako ciało, jeszcze po reformie Czartoryskich była kosmopolityczną i lekkomyślną. Wprawdzie nie lepiej działała się i w innych narodach; ale na arystokracji naszej ciążyły większe obowiązki, większa też przygniata ją odpowiedzialność. Gdyby tylko nie robiono nic, ani złego, ani dobrego — byłoby to jeszcze najlepszem; ale silono się właśnie na robienie *niczego*. Używano życia, bawiono się, naśladowano nicość innych. Życie z piany urabiało i charaktery piankowe: dmuchnąć — już go nie ma. Moda rezydencji, salonów, ogrodów i zabaw francuzkich zamieniła się w istną kołowaciznę. Mieli Czartoryscy swoje Powązki, musiała mieć pani Lubomirska swój Mokotów: jedno ściagało się przez drugie. Rymiarstwo bezduszne łąziło po drzewach, gajkach, chatkach i strumykach — zachwycało się i rozczulało. Daremnie elegia Konarskiego na zaślubiny Ignacego Potockiego uderzała w ton wyższy, godny straszliwej chwili. W dziesięć lat jeszcze potem wierszokleta Tysszyński płakać będzie nad skaleczoną topolą w Arkadyi pani Radziwiłłowej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Krótkie zimowe dnie mijały jeszcze jakotako w Zaruczcu, ale długie wieczory i noce bez końca, zwłaszcza te ciemne, pochmurne noce bez gwiazd i księżycy, wydawały się wiecznością.

Dziunia, sypiąca na wsi w jednym pokoju z panią Zofią, budziła się nieraz z przyzwyczajenia kilka razy wczesnym rankiem i pytała:

— Mamo, czy dnia dzisiaj nie będzie?...

Przychodził dzień, ale zaspany zwykle, ponury, do zmierzchu raczej, niż do dnia podobny, a ilekroć się trochę rozjaśniło, tyle razy za to śnieg padał i zasypywał drogi, zrywając znowu komunikację ze światem.

Tego najbardziej obawiała się pani Zofia, nigdy dla niej wartość drukowanej bibuły nie była tak wysoka, jak teraz, gdy z niej jedynie czerpała wszystkie wiadomości ze świata, zwłaszcza o Warszawie. Zaczęły ją tu zajmować nawet drobiazgi, na które w innych warunkach nie zwróciłaby z pewnością uwagi.

Młody Maxym, faworyt dziedzićki, w największą zadymkę siadał na koń i pędził do miasteczka w dnie pocztowe, po gazety i książki, bez których, jak bez światła, było we dworze zaruczzańskim.

Dziwnie tu na zaświeciu wydawały się echa rozbawionej w karnawale stolicy; niekiedy, czytając opisy świetnych balów, rautów, koncertów, pani Zofia odkładała dziennik i, przeciągając się na swoim pluszowym fotelu o biegunach, mówiła sobie:

— Mogłabym być dzisiaj na koncercie Rubin-

2) W T. I na str. 93 p. Dębicki mówi o królu duńskim. Zapewne go znalazł w „Pamiętniku,” ale rzeczywiście mógł to być tylko królewicz, znany ze swej burzliwości i nieporządku umysłowego, w końcu za bezwłasnowolnego uznany, późniejszy król Chrystyan VII.

1) Niepotrzebnie zupełnie p. Dębicki używa swój styl na uczuciowe zestawienie dawniejszej rezydencji Czartoryskich z dzisiejszym Cmentarzem Powązkowskim tak, jakgdyby ten cmentarz rozpościerał się na ruinach rezydencji. Tak nie jest. Miejsce zmarłych istniało obok ustronia arystokratycznego i współcześnie z niem, na gruntach, bynajmniej nie Czartoryskich, ale Szymanowskich, którzy je umyślnie na ten cel zapisali. Powązki opiewane przez Trębeckiego leżały na zachód, o pół kilometra od cmentarza, ale wtedy już księżna Izabella w nich nie rezydowała.



Całowała ją po kolanach i prosiła póty, dopóki nie otrzymała przyrzeczenia.

I zaczęło się to malowanie...

Na biurku pani Zofii stał dotychczas tablecik porcelanowy z różą, po której pełzała gąsienica, pamiątka pierwszej wizyty Romualda, w szkatułce leżały tesame pędzle, któremi wówczas malował przy niej, świeży zapas farb przywiozła z sobą z Warszawy, w tece znalazł się czysty krążek, jakby umyślnie przykrojony na miniaturę. Usiadła przy oknie, splamioną fotografią postawiła przed sobą na stoliku i zaczęła kopiować tę wyrazistą, piękną głowę mężczyzny, którego obraz nosiła w myślach i w sercu od tak dawna...

Musiała teraz wpatrywać się w każdy szczegół jego rysów, przypominać sobie kolor jego oczu, jego włosów, jego cery i myśleć o nim bezustannie. Nie przypuszczała, że przypadek wystawi ją na taką próbę i że się znęcać będzie nad nią w ten sposób, że to portretowanie rozbudzi w niej wszystkie uśpione uczucia dla Romualda, i że ten tak drogo okupiony spokój będzie musiała narazić znowu na tajemną burzę, która się zerwie w jej sercu.

Ta twarz kochanego mężczyzny zdawała się ożywiać pod spojrzeniem kobiety, siłą woli zapierającej się tego uczucia, te oczy patrzyły na nią i zmieniały wyraz, jakgdyby w malowanej głowie myśli jakimś cudem krążyć zaczęły, w ustach zdawało się ważyć czarowne słowo: „kocham cię” — i drugie jak grób smutne i beznadziejne: „rzucam cię...”

Mgła jakaś zasłaniała wzrok pani Zofii, ręka jej drżała, cieniutki pędzel stawiał kleksy i dygotał w jej palcach zeszywniałych, odkładała paletę i przerywała robotę wzburzona, wykołojona ze sztucznej równowagi, zła na siebie, że tak słaba jeszcze, na Dziunię, że ją skusiła do tego malowania i tyranizowała po prostu, zmuszając codziennie do rozpoczynania nanowo zepsutej miniatury.

A jednak pomimo całego niebezpieczeństwa, jakie widziała w tem oryginalnem *tête-a-tête* z Romualdem, pomimo rozdrażnienia, w jakie ją wprawiało długie wpatrywanie się w ukochane rysy tego, którego na zawsze wyrzec się musiała, wracała po kilku dniach do przerywanej roboty, ścierała farby i zaczynała nanowo malować miniaturę Romualda.

Chciała się przewyciężyć, oswoić z pokuszeniem, zapanować jeszcze raz nad sobą i doświadczyć się.

Dziunia spokoju jej nie dawała; prowadziła ją gwałtem niemal za rękę, sadzała przy stoliku, podsuwała jej szkatułkę z farbami i nalegała:

— Proszę cię, maluj; przyrzekłaś mi, więc powinnaś słowa dotrzymać.

— Kiedy widzisz, że mi się nie udaje—tłómaczyła się pani Zofia.

— Spróbuj jeszcze raz, musi się udać; zobaczysz, że się uda, tylko zacznij. Przedwczoraj był już zupełnie podobny.

Kłękła przy niej na taburecie, opierała rączki na poręczach fotelu i przez ramię przypatrywała się malowaniu macochy, robiąc od czasu do czasu swoje uwagi.

— Widzisz, doskonale ci idzie, czoło zupełnie podobne... on ma takie szerokie, piękne czoło, gdy się nie marszczy; a brwi, jak malowane. Wiesz, raz mi pozwolił palcem je potrząść, abym się przekonała, że nie czernione. Nie mówiłam ci o tem? Prawda, jaki on ładny mamusię?... tylko dla czego on był zawsze taki smutny, gdy do nas przychodził?... z nami to się ożywia! Ostatni raz tak mnie całował i śmiał się ze mnie, że miałam łzy w oczach przy pożegnaniu; gdybym była wiedziała, że go więcej nie zobaczę, byłabym inaczej płakała.

Pani Zofia słuchała tego szczebiotania dziecka, które jej mimowiednie nasuwało jeszcze więcej wspomnień, odsuwanych umyślnie, o Romualdzie.

Czasem przerywała jej:

— Przestań już, Dziuniu, bo mi przeszkadzasz, nie będę malowała.

Wtedy dziewczynka rączkami zasłaniała usta, kuliła się za fotelem i milkła, jak niemowa:

— Już ani mru-mru, tylko maluj...

W taki sposób powstała miniatura Romualda

i zajęła miejsce w budoarze pani Zofii na biurku, obok herbacianej róży z gąsienicą.

To malowanie wszelako zły miało wpływ na samą portrecistkę, za dużo zmuszało ją wpatrywać się w przeszłość i zbliżało ją znowu do terażniejszości...

Ze wszystkich wrogów naszych, najzaciętszym bywa często własna myśl nasza, kiedy znacznie podbijać spokój siłą woli podtrzymywany.

Długi czas żadnej wzmianki nie znajdowała pani Zofia o Romualdzie w dziennikach: Warszawa hulała pod koniec karnawału, tańczono do upadłego. Z Kuryerów dowiedziała się o kilku balach zapowiedzianych na ostatki; między innymi na tydzień naprzód reklamowano zawzięcie wielki bal w Resursie Kupieckiej na korzyść nowego przytułku dobroczynnego dla starców i kalek. Ogromna lista gospodyń i gospodarzy balu wymieniała wszystkie prawie głośniejsze mieszczkańskie nazwiska w Warszawie; pomiędzy nimi pani Zofia znalazła nazwisko pana Romualda Lackiego i pani Ludwika z Fiszbaumów Lackiej.

Pokręciła ze zdziwieniem głową; jakoś sobie nie mogła wyobrazić Romualda w tej nowej roli, z kokardą gospodarza w komitecie balowym przy fraku, uwijającego się między tańczącymi parami.

Ostatecznie nic w tem nie mogło być dziwnego, wielu starszych wiekiem i poważniejszych stanowiskiem ludzi dawało swoją firmę ze zwyczajem towarzyskiej zabawy, która miała przynieść pożytek dobroczynnemu celowi.

A jednak udział Romualda na liście gospodarzy zastanowił panią Zofią, znalazła na niej całą rodzinę Fiszbaumów z JW. baronową Krulle i Józefową Ostrowidz-Jerzbičką. Nie szczędzono nikomu tytułów i polectania próżności ludzkiej.

Trzymając w rękach „Kuryera,” pani Zofia wpatrywała się długo w wydrukowane nazwisko Romualda i uśmiechała się jakoś dziwnie.

Bóg wie, co jej przechodziło przez głowę...

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— *Szkola*, znane czytelnikom naszym czasopismo, poświęcone sprawom wychowania, zamieściło w ostatnich czasach szereg artykułów, traktujących o wychowaniu i nauce dziewcząt, domagających się w nich zmian, potrzebnych tak dla podniesienia umysłowego i moralnego poziomu kobiety, jak dla dobrego wypełnienia jej przyszłych obowiązków w rodzinie. Artykuł M. Baranowskiego: „Kilka uwag o wychowaniu dziewcząt” odznacza się szerszym na przeznaczenie kobiety poglądem i dotyka ważnej kwestyi emancypacji, pojętej na zasadzie naturalnych kobiety uzdolnień. Stanowiskiem autora w jego myślach o wychowaniu dziewcząt jest взгляд na przyszłe obowiązki kobiety, któremi bynajmniej nie pomiata, jakkolwiek daje im przeważnie miejsce w domu, w rodzinie. Przeciwnie, wpływ kobiety stawia on bardzo wysoko w oddziaływaniach jego na obyczaje, na moralność społeczeństw i na zasadzie jego wniosków możnaby do aksjomatów męzkich o życiu dołączyć to zdanie Krasickiego: „My rządźmy światem a nami kobiety!” Kobieta, jako matka i żona stwarza takie ognisko domowe, jakie odpowiada jej gustom i pojęciom, a czemże jest społeczeństwo, jeżeli nie zbiorem ognisk rodzinnych, gdzie chowa się dziecko, gdzie więc mężczyzna przygotowuje się do życia i urabia do niego według tych ideałów dobra i piękna, które mu się tam przedstawiając, stanowią, można powiedzieć przeważnie, o jego moralnym gruncie. Jakże rodziny, taki naród, i biada mu jeżeli jego kobiety przejęte są próżnością—jeżeli lekkomyślne i egoistyczne chęci używania stawiają sobie na planie pierwszym i jednoczą je z pojęciem o szczęściu. Naród taki przeniknie zepsucie, przejmie zgnilizna moralna

i odsuwając na bok ideały wyższe, stacząc się on musi do upadku.

Jeżeli przecież wychowanie ma tak wielką moc nad ludźmi, jakżeż więc społeczeństwa powinny o nie dbać, zwłaszcza w stosunku do kobiety, która jest wśród narodu wychowawczynią?

Tu autor stawia ciężkie zarzuty społeczeństwu swemu, że błędzi: że daje dziewczętom wychowanie i wykształcenie powierzone, które nie przygotowuje ich do przyszłego zadania dobrej matki, dobrej żony i gospodyni—dobrej obywatelki. Ta, która ma szczepić w dzieciach szlachetne i święte uczucia, zwracać ich myśli w kierunku wyższej cnoty i uczciwości, powinna sama te myśli mieć, temi uczuciami być przejętą i zdolną, aby, jako umiejętna nauczycielka i wychowawczyni, przelewała je w dziecko. Jednostronność kształcenia, które jest tylko polerowaniem powierzchni, aby błyszczała, brak głębszego wyrobienia, wyższego oświecenia umysłu, brak rozbudzonego uczucia powinności w kierunku obowiązków *niewieścich*—oto zło, które każe nam ciężko pokutować za siebie.

Autor pisze to przecież według studyów nad otoczeniem swoim—nad Galicyą, co jednak nie daje się zastosować ogólniej do kształcenia i wychowania kobiety naszej w dobie dzisiejszej. Przeciwnie, to, co w Anglii nazywają „over-pressure”, a we Francji „surmenage intellectuel”, powtarza się również w jej wychowaniu i w nauce. Dziewczęta uczą się dziś wiele, za wiele, jako ilość przedmiotów i gałęzi nauki—za wiele ze względu na konieczne doprowadzenie tej nauki do najbardziej ogólnych zarysów i niejako do suchego powiadamiania tylko, co to tam jest w tych rozmaitych działach wiedzy ludzkiej. Daje to umysłowi jedynie wiadomości, ale przez konieczną ich wszystkich ogólnikowość, są to rzeczy brane jedynie po wierzchu, więc nie przynoszą one tych w wyrobieniu umysłu korzyści, które otrzymuje on, gdy musi zstępować w głąb czegoś i z nauki ideję jej wyprowadzać, sobie ją przyswajając, aby z kolei własną tworzyć i mieć w umyśle coś, co się dla umysłu tego etyki jego staje. Obecnie, jak wszyscy pedagogowie świata to uznali, młodzież się męczy, wysiła na suche ładowanie w siebie wiadomości naukowych, ale rzeczywistość mniej się uczy, i można tu zastosować w innym przedmiocie uczynione spostrzeżenie Żmichowskiej, że według dzisiejszego systemu edukacyjnego wyuczona dziewczyna wie tylko o nauce, ale jej nie bierze sobie na umysłowy i moralny czynnik jakiś—na umysłową i moralną korzyść swej istoty.

Tu, jakkolwiek dla przyczyn innych, schodzą się spostrzeżenia moje ze spostrzeżeniami autora *Kilku uwag o wychowaniu dziewcząt*. Nauka nie przyczyniająca się do rozwinięcia wewnętrznych przymiotów umysłu, nie daje też poczucia *obowiązków niewieścich*, i jest tylko dla błyszczenia, na zewnątrz migoczącego.

Zgadza się również z autorem, że przy planie nauki dziewcząt trzeba przedmioty naukowe starannie dobierać, z myślą na przyszłe obowiązki, czekające kobietę w życiu, a które, dodać należy—pojmując je szeroko, bo do zakresu ich zalicza nie tylko rodzinne, ale i społeczne, obywatelskie powinności, pojęcia dobra, piękna i prawdy, tylko dopisując tu jeszcze zastrzeżenie jedno. Muszą to być przedmioty ogólnie kształcące człowieka, jako takiego, a dopiero obok tego mieścić należy te specjalności, które kształcić mają w kobiecie przyszłą gospodynię domu i naczelnikę rodziny—matkę, żonę. Inaczej zacieśnienie umysłowe nie pozwoliłoby jej dostatecznie wypełnić *obowiązków niewieścich* w ich wysokim, jak właśnie autor chce, szlachetnym znaczeniu. Przeciwnie nawias to jest tylko, dla jasności dodany, bo z tego, co autor *Kilku uwag* pisze, widać, że taksamo rzecz pojmuję, skoro pragnie, aby myśl o obowiązkach *niewieścich* towarzyszyła kobiecie przy wyższym i najwyższym nawet wykształceniu. Nie przeczy go, ale opatruje zastrzeżeniem.

Mówiąc o emancypacji kobiety, stawia autor kwestyą na polu jej sił fizycznych i umysłowych uzdolnień. Skoro kobieta chce samodzielnie pracować, powinna obrać sobie taki kierunek tej pra-

cy, któryby tym naturalnym warunkom odpowiadał; nie czyniąc tego, podkopyje sama przyszłość własną, buduje ją na podstawie kruchej i zawodnej. W zasadzie nie przeczy autor niczemu, tylko ostrzeżeniu, dodając, że kobieta brana w ogóle, niechętnie oddaje się myśleniu abstrakcyjnemu, uważa pewne zawody, wymagające takiego skierowania umysłu, za mniej właściwe dla niej. Wśród zawodów naukowych przemawia za najdawniejszą gałęzią wyższej pracy kobiecej: nauczycielstwem, uważa też że lepsza praca pocztowa, przy telegrafach, prowadzenie rachunków i korespondencji są odpowiedniemi dla niej polem pozadomowego zajęcia.

Aby się mogła do nich uzdolnić, chce, aby przy publicznych szkołach dla kobiet istniały specjalne kursy; warunki miejscowe stanowić powinny, jakimi być mają. Nauka gospodarstwa domowego, kroju, szycia ręcznego i na maszynie, rysunku, stosowanego do wykonywania wzorów, potrzebnych w pewnych gałęziach pracy kobiecej, powinny być na owych dodatkowych kursach wszędzie wykładane. Autor kończy uwagą, że tak w wychowaniu dziewcząt, jak w metodzie ich nauczania, powinno się wiele zmienić. W jaki sposób? Nie określa, przecież kierunek tych zmian jest poniekąd w artykule wskazany i tylko środki wykonania mogłyby być ponuczające; ztąd też dla czytającej publiczności jest to szkoda, że podane nie zostały.

Juliusz Starkel kwestyą wychowania kobiety podnosi w *Szkole* z jednej tylko strony uzdolnienia jej w domowych obowiązkach gospodini. Wychowanie kobiety zostało dziś we wszystkich niemal stanach podzielone na wychowanie macierzyńskie i szkolne. W domu matka może bez żadnych szczególnych zachodów, a nawet bez nakreślenia sobie stałego planu nauki, naukę tę prowadzić, uczyć córkę najpierw gospodarności, a potem gospodarstwa, przez sam już przykład i stawianie jej przed oczyma tej pracy gospodarczej, która z czasem ma do jej obowiązków należeć. Jest to zawodowa praca kobiety w rodzinie i obowiązuje każdą mniej, lub więcej w szczegółach, ale jednakowo pod tym względem, aby każda domem swoim chciała i umiała rządzić dobrze — rządzić rozumnie. Matka powinna przyzwyczajać córkę do gospodarności, uprawiając ją do zajęć domowych pod jej okiem i za jej wzorem, pod jej wskazówkami dokonywanych, a stanie się to zarazem praktyczną gospodarstwa nauką. Powinna z tym celem poruczać jej dozór nad kuchnią i uczyć przepisów gospodarczych, a to według mego zdania, ma jeszcze jeden ważny wzgląd w wychowaniu kobiety rodzinnem — uczy ją być dobrą córką, nie pozwala wyrobić się na taką bezczynną lalkę, która, korzystając z dobrobytu, jakim gospodarność matki darzy dzieci, sama bezczynną pozostaje i nie wypłaca się matce z długu wdzięczności własną pracą, na jej korzyść niesioną, lub usiłowaniami ulżenia jej w trudach gospodarczych, podstawiając własne, młode barki pod ich ciężary.

Tam, gdzie matka sama dla rodziny pracując, córce pozwala w tej pracy żadnego udziału nie brać, tam wychowuje się nie tylko niegospodarna w przyszłości kobieta, ale istota samolubna, przyzwyczajona żyć kosztem cudzym: nakładem miłości i poświęcenia nieodpłatanego. Często przecież tak się dzieje przez fałszywie pojętą miłość macierzyńską: przez bojaźń, aby delikatność i uroda dziewczęcia coś wśród trudów gospodarczych nie ucierpiała, lub też nie chcąc czasu, poświęconego nauce, na żaden inny cel obracać. Ale gospodarstwa się uczyć — to przecież nauka jest także: nauka bynajmniej nie mniejsza od innych, gdy jej znaczenie ze względu na całość kształtu życia i obowiązków kobiety rozpatrywać będziemy. Że tak jest, dlatego p. Juliusz Starkel pisze w *Szkole* swój rozumny artykuł: „O nauce gospodarstwa domowego w wychowaniu kobiety“ i radzi, żąda nawet, aby żeńskie zakłady szkolne pamiętały o tem, że to jest specjalność kobiety w rodzinie, — wyraża życzenie, aby matki oddając tam córki dla kształcenia ich umysłowego, usiłowały zapewnić im obok tego jakąś praktykę gospodarczą, co do utrzymania porządku domowego, a zarazem w zajęciach kuchennych,

w zajęciach koło prania i prasowania. Byłby to środek zaradczy, aby młode panny nie odzwyczajały się zanadto od swej przyszłej pracy zawodowej, aby nie zatraciły w sobie potrzebnych do niej zdolności, aby wreszcie nie uważały jej jako coś podrzędniejszego, coś gminnego — nad co je podnosi wykształcenie umysłu, którego w szkole nabyły.

Autor artykułu, pragnąc zapewnić młodym pannom praktykę gospodarczą w czasie, gdy jej u ogniska domowego pobierać nie mogą, podaje myśl, aby przy *tanich kuchniach* zorganizowane zostały szkoły gotowania teoretyczne i praktyczne, z nauką obowiązującą uczennice wszystkich szkół żeńskich. W Brukseli rada miejska uchwaliła dla wszystkich szkół żeńskich obowiązkowość nauki gotowania.

Znajduje się w *Szkole* jeden jeszcze artykuł: „W sprawie wychowania dziewcząt“ upominający się dla nich o naukę zajęć kobiecych i gospodarstwa domowego w szkole. Pisze go ksiądz W. G. w sprawie dziewcząt stanu miejskiego, ze względu na rzecz, która już poza szkołą, po czasie skończonej tam nauki objawia się bardzo smutnymi następstwami. Szkoła wykoła niejaką dziewczęta, bo nauka, jaką tam dostają, daje zamało, aby mogły uczynić z niej sobie sposób utrzymania, zawiele przecież, aby tryb życia, jakie wiodą ich rodzice, rękodzielnicy, już je mógł zadowolnić. Z tej więc przyczyny ks. W. G. pragnie, aby przy szkołach miejskich i w połączeniu z niemi istniały kursy specjalne takich robót i rzemiosł kobiecych, któreby dawały uczennicom możność zarobku, gdy po ukończeniu szkoły zapragną pracować samodzielnie.

Czy zasada, na której się opiera wniosek ks. W. G. ma racją moralną, którą przyjąć i uwzględnić należy? Czy jest to rzeczą usprawiedliwioną, aby elementarne oświecenie umysłu już nie pozwalało na zajęcia się pracą uczciwą i pożyteczną, jakkolwiek może być prostą? W Austrii, Belgii, Niemczech i na całym Zachodzie Europy szkoły ludowe istnieją od lat wielu, cywilizują, rozświecają pojęcia o życiu i świecie, a przecież nie rozdzielają rodziców z dziećmi, nie przynoszą tych następstw smutnych, aby córki nie mogły już oddawać się pracy, która żywi ich rodziców. Szkoły, wydające taki skutek, byłyby ciężko demoralizujące, wytwarzałyby najniebezpieczniejszy na świecie proletaryat i w takim razie trzeba by chyba głosować za ciemnotą, a rodzice mieliby za sobą prawo naturalne, nie chcąc posyłać dzieci do szkół, podkopujących stosunki rodzinne. Że po miasteczkach może istnieć ze względów zarobkowych potrzeba nauczania w szkole takiej pracy kobiecej, którąby przez zarobek córki umniejszała ciężarów rodzinie i dawała kobiecie potrzebne oparcie — to co innego. Na takie umotywowanie rzeczy zgodzi się każdy i autor artykułu zapewne miał myślą taką, tylko niedość jasno ją wyraził.

To, co pisze on następnie o próżności kobiecej i niekobiecej tylko, która sprowadza fałszywy wstyd i wstręt do zajęć, uważanych w hierarchii pracy za niższe, jest godnem uwagi wychowawców, i tak szkoła wszelka, jak rodzice, powinni nie dopuszczać rozwijania się w dzieciach takich fałszywych pojęć o godności ludzkiej — takich fałszywych poglądów na życie. Kwestya, o którą artykuł ks. W. G. potrąca, że szkoła może oddając uczennicom chęć, a nawet zdolność do pracy, z którą się spotykają za powrotem do domów, jest rzeczywiście w dzisiejszem nauczaniu kobiety, jakkolwiek innych sfer społecznych, niebezpieczeństwem niemałym. Grozi ono mniej uczennicom przechodzącym, przepędzającym w szkole tylko czas, na naukę przeznaczony, ale potęguje się to dla pensyonarki, gdy w dzisiejszej pięcio-sześcioklasowej szkole przebywa poza domem rodzinnym, poza trybem pędzonego tam życia tyle lat tego właśnie wieku, w którym z dziecka przechodzi w osobę dorosłą i kształtuje się nie tylko fizycznie.

Jest ona przez cały ten czas zupełnie oderwaną od tych zajęć domowych, które są pracą kobiety w rodzinie, odwyka od nich i, co zwykle za tem idzie, upodobanie do nich traci — traci nawet zdolność potrzebną. Czyż ona, którą przez

lat tyle obsługiwało we wszystkich jej potrzebach, której wszystko już gotowe do rąk podawano, zdoła potem przerzucić się chętnie i dobrze w tę robotnicę domową, obowiązującą przyłożyć się osobiście do pracy gospodarczej i czuć nieraz gorący znój na czole?

Dziś szczególnie, gdy ekonomiczna zmiana stosunków zmienia i skalę zamożności ogólnej, zwłaszcza w tych klasach, z których uczennice przeważnie pochodzą, jest-że to dobrem przygotowaniem do życia, jest-że to dobrym życiowym wyciastem?

Zdaniem mojem, i nie mojem tylko, dzisiejsze szkolnictwo kobiety jest złe, wadliwie zorganizowane. Że przeładowywa młode umysły, dowiedli już ludzie kompetentni wszystkich krajów; że liczy się bardzo mało z praktycznymi względami przyszłego życia uczennice, to fakt łatwy do wykazania, wykazywany też nieraz i dowodnie. Książka G. W. potrącił w *Szkole* przedmiot niezmiernie ważny, a jakkolwiek przedstawił go czytelnikom nie dość jasno i pojęcia pomieszał, na konkluzje jego ostatnie zgadzam się w zupełności. Szkoła musi być dla życia: musi jego obywatelskim i rodzinnym obowiązkiem drogi równać.

M. Ilnicka.

## Echa z Czech.

Fatalne rozporządzenia w sprawie średnich szkół w Czechach. Czesi i Polacy. — Zjazdy w Pradze. — Zabroniona uroczystość Sokolów. — Goście z Am-ryki. — Gromadna wycieczka Czechów do Lublany. — Czesi i Słowianie. — Z literatury — Dzieła filantropijne o ochronach pani Czerwinkowej-Kiegrowej. — Kalendarz czeskich p. h. i. t. d. — Wspomnienia pośmiertne: Wacław Szulc, Rudolf Pokorný, Ferd. Naprstek — Pomnik Rittersberga Słownik polsko-czeski.

Przeminęła już dla Czech, jak się zdaje, pora zwana sezonem martwym. W Pradze przynajmniej prawie wcale nie było w tym roku spokoju i zwykła cisza letnich miesięcy chyba tylko na wsi raczyła zdenerwowane pokolenie naszego społeczeństwa. Tętna narodowego i politycznego życia nie słabły przez cały rok, ani na chwilę. Właśnie w czasach podzwrotnikowego gorąca sierpniowego uderzyła w Czechów, jak piorun fatalna, wiadomość z Wiednia, że minister Gautsch ma zamiar zmniejszyć liczbę średnich szkół czeskich, co naturalnie, musiało wywołać w kraju ogólne i bezwzględne oburzenie. Skoro Czesi w pracy nad odrodzeniem swego narodu główną uwagę zwracali na oświatę i przez nią działać chcieli, nie trudno więc zrozumieć, że nie mogli przyjąć obojętnie rozporządzenia ministra nieżyczliwego temu kierunkowi. Postanowiono też stanowczo użyć w obronie swej sprawy wszystkiego, co można, i domagać się, naturalnie, przedewszystkiem uczynnej pomocy od swoich sojuszników w Radzie Państwa w Wiedniu. Że w tym względzie stanowisko Polaków będzie po części rozstrzygającym, rozumie to się samo przez się, ale jest w Krakowie partya, która nie ma zamiaru popierać pretensyi Czechów. Nie chcemy dziś o tem obszerniej mówić, gdyż wkrótce zagajona Rada Państwa w Wiedniu najlepiej nam sytuacją wyjaśni; nie możemy przecież przemilczeć bez podziwienia, że właśnie wspomniana partya galicyjska, w polemice przeciw Czechom, zniżyła wartość sprawy średnich szkół, twierdząc jakoby „nie była wartą takiego hałasu.“ Zadaleko zaprowadziłoby mnie, gdybym chciał objaśnić narodową i polityczną doniosłość średnich szkół czeskich; nadmienić tylko muszę, że Naród Czeski nie na to zbiera po wdowim groszu składki na rzecz Macierzy szkolnej, ażeby potem miał w milczeniu patrzeć na zamknięcie tych szkół, tak wiele znaczących.

Obecny stosunek czesko - polski, poniekąd oziębiony, utrudnia, naturalnie, położenie, które jest poważnem. Dzięki tendencyjnemu pisaniu sensacyjnych korespondencji o „panslawizmie czeskim“ nastąpił pewien chłód i rozstrój w poglądach ogółu. Niestety, wzajemna znajomość położenia między Polakami i Cze-

chami znajduje się dotąd w stanie oplakany. Ludzie najmniej powołani do zajmowania się polityką i najmniej uzdolnieni do sprawozdań wymagających wielkiej sumienności ośmielają się alarmować ogół protestami, albo wprost bajkami. Nędzne rzemiosło tendencyjnego zniechęcania wzajemnego wydało już swoje owoce, i dziwić się tylko należy, iż nie przykłada się większej uwagi, aby zobaczyć: jakie to są ręce ludzi burzących pokój...

Ale zostawmy na stronie ten niemły przedmiot i nie traćmy nadziei, że tak w sprawie średnich szkół, jak i w sprawach innych, będzie lepiej.

Przyjemniejszym w każdym razie tematem będą zapewne dla łaskawych czytelników wiadomości o licznych zjazdach, jakie miały w tym roku miejsce nietylko w Pradze, lecz i na prowincyi. W poprzednim „Echu z Czech“ zwróciliśmy uwagę na jubileuszowy obchód czeskich *Sokołów*, na który wybierali się licznie też Polacy, szczególnie z Galicyi. Niestety, uroczystość ta została zakazaną, przez co nie przyszło do uczestnictwa polskiego, czego tembardziej wypada żałować, ponieważ przy tej sposobności możnaby się było osobiście przekonać, że w Czechach nie pod każdym względem tak jest, jak się czasami o nich pisze. Przynajmniej przygotowania na powitanie polskich gości uczyniono wielkie i zapewne wszyscy Polacy byłiby wywieźli z Czech przyjemne wspomnienia. Tymczasem wskutek zakazu uroczystość *Sokołów* przybrała charakter tylko miejscowy. Uświetnił go jednak gromadny przyjazd *Sokołów* z Ameryki. Przyjechali do Czech oddzielnym statkiem, wszystkiego osób blisko 300. Nie przyjechali oni zza Oceanu z gołemi rękami, przeciwnie, przywieźli, jako podarek 2,000 guldenów na rzecz *Macierzy szkolnej*. Pieniądze te zebrano po groszu prawie we wszystkich kątach Stanów Zjednoczonych, wśród puszczy i preryi, wszędzie, gdzie kolonie czeskie dają znaki życia.

Niemniej doniosłą była gromadna wycieczka Czechów do Lublany. Przeszło 500 Czechów wybrało się w odwiedzinę do pobratymczego kraju, gdzie witano ich na każdej stacyi i w każdym miasteczku w sposób prawdziwie uroczysty. Było to wielkie święto zbliżenia się dwóch narodów i sympatyczne echo zgody uczuć obu ludów. Na powitanie Czechów przemówił znany patriota i Czechofil p. Hribar następująco: „Lat temu 600 i więcej wkroczyło do naszego kraju zwyciężkie wojsko czeskie króla Oskara; wtedy przodkowie nasi witali Czechów radośnie i serdecznie, podając im według obyczaju starosłowiańskiego chleb i sól. Od tych czasów braterski Naród Czeski nieprzybywał do nas tak licznie; dopiero dziś znów setki Czechów spieszą do nas, aby dać dowód solidarności obu narodów. Drodzy bracia i siostry! Nie podajemy wam dziś chleba i soli, lecz przynosimy wam całe nasze serce i witamy was jak najserdeczniej na rodzinnej ziemi naszej!”

Czeski mówca, Dr. Szmaus, odpowiedział burmistrzowi miasta Lublany w sposób następujący: „Jak Naród Czeski, tak i naród Słowianinów stanowi najwięcej na zachód posuniętą straż świata słowiańskiego i ponieważ mniejsze sąsiednie szczepy słowiańskie w morzu germańskiem utonęły, tworzą oba te narody mocne kliny w bokach wspólnego naszego narodowego przeciwnika. Dlatego to jest rzeczą upragnioną, aby narody słowiańskie, zgromadzone pod berłem Austrii, nawzajem się popierały, w zachowaniu swego bytu narodowego i politycznego. To jest główną przyczyną, dla czego przedewszystkiem innemu naród czeski zagrożonemu narodowi słowiańskiemu braterską rękę podaje. Przychodząc do was, wołamy: „Nie dajcie się bracia Słowianie, bróńcie wytrwale prawa odziedziczonych po przodkach, bróńcie języka swego i bądźcie pewni, że przy wszelkiej pracy waszej poświęconej waszej egzystencji narodowej i wolności politycznej stać będzie z wami zawsze cały Naród Czeski!” Rozumie się, że wśród takich gorących przemówień wzrastał zapal wzajemny i że cały pobyt Czechów między Słowianami był jednym objawem wzajemnej sympatii.

Język czeski między Słowianami bardzo jest popularny, włada nim tam dużo wybitnych osób. Sam burmistrz miasta Lublany dobrze mówi po czesku. Również i czeska książka nie jest rzadkością między Słowianami. Taksamo Czesi interesują się nawzajem nimi. Słowem, gdy się mówi o braterstwie obu tych narodów, nie mamy do czynienia z pustym frazesem, lecz z pięknymi objawami istotnego zbliżenia się.

Wypada mi teraz donieść jeszcze o niektórych ważniejszych nowościach literackich. Córka Riegera, politycznego przewodnika Czech, pani Marya Czerwinkowa, wydała świeżo obszernie dzieło pod napisem: „Ochrona biednej i opuszczonej młodzieży.” Celem tej, na uwagę zasługującej książki jest wyłącznie filantropia i pierwsza to tego rodzaju publikacya w literaturze czeskiej. Szanowna autorka miewała przed rokiem w Towarzystwie opieki nad zaniedbanymi dziewczętami” odczyty o instytucjach mających na celu dobro młodzi żeńskiej, i właśnie te odczyty stały się pobudką do napisania i wydania niniejszej, obszerniej już książki. Szanowna autorka widocznie dobrze obznajomiona z zagraniczną literaturą, jak niemniej i z filantropią zagraniczną, podaje wiele pouczający i pobudzający obraz rozwoju humanitarnej opieki nad moralnie zaniedbanymi, opuszczonymi dziećmi. Zapoznawszy czytelników z najważniejszymi w tym względzie instytucjami we Francyi, Szwajcaryi, Anglii, Belgii i t. d., stara się zwrócić uwagę na stosunki miejscowe, t. j. czeskie. Nawiasem nadmieniam, że szanowna autorka z wielkiem uznaniem wspomina o humanitarnych dążeniach Polaków, przytaczając niejedną przykłąd ich dobroczynności publicznej. Szczególnie podnosi znaczenie instytutu hr. Skarbka w Drohowsku. O szlachcie polskiej wyraża się córka dra Riegera w sposób następujący: „Humanitarne przedsięwzięcia polskie rozwijały się szczególnie dzięki ofiarności polskiej szlachty i mnóstwo szlachetnych ofiarodawców szczodremi na ten cel legatami nazwiska swoje w złotej książce dziejów dobroczynności zapisało.”

Niemą wątpliwości, że książka ta przyczyni się do rozwoju dobroczynności w Czechach, co zresztą było jedynym a szlachetnym celem autorki. Książkę swą dedykowała pani Czerwinkowa matce, o której można powiedzieć, że całe życie swoje poświęciła dobroczynności.

Z nowości literackich, odnoszących się wyłącznie do kobiet czeskich, zanotować wypada, że właśnie opuścił prasę *Kalendarz pań i dziewic czeskich* na rok 1888. *Kalendarz* ten, wydany dosyć gustownie, zawiera piękną wiązaną pracę literackich, albo samych kobiet czeskich, albo im wyłącznie poświęconych. Jest to pierwsza tego rodzaju publikacya czeska, która, jeżeli rozejdzie się w szerszych kołach czytelników, o czem zresztą wątpić nie należy, wywrzeć może wpływ pożyteczny. W każdym razie pocieszającym jest objawem, że kwestya działalności kobiecej w Czechach coraz więcej się rozwija, czego ślady spotykamy nietylko w literaturze, lecz i w życiu publicznym. Dziś kobieta czeska niezawodnie czynnie już się miesza z ruchem ogólnym, popierając dzielnie prawie wszystkie przedsięwzięcia narodowe. Świetnym tego dowodem są te rozmaite narodowe bazyry urządzone w Pradze i na prowincyi, w których powodzeniu czeska kobieta prawie główną ma zasługę.

Franciszek Kwapil, znany tłumacz *Krasińskiego* i *Asnyka*, wydał tom oryginalnych poezyi pod tytułem: *Zaváté stopy*. Kwapil przypomina poniekąd *Vrchlickiego*; poezya jego świadczy o głębokim uczuciu, szlachetnym kierunku myśli i odznacza się piękną formą, której twórcą stał się *Vrchlicki*.

Na zakończenie niniejszego listu pozostawiam wspomnienie pośmiertne. Niestety, w czasach ostatnich ponieśli Czesi tyle strat, że dział nekrologów wypełniłby mógł, nie jeden lecz kilka takich, jak niniejszy, listów. Codzień prawie dzienniki czeskie przynoszą czarne obwódki z cmentarnymi wiadomościami, że zgasł ten lub ów z pionierów czeskiego narodowego ruchu, lub jak młody orzeł przedwcześnie opuścił pole walki.

Od czasu mego poprzedniego listu przybyło kilkanaście takich mogił i z nich też niejedna obójną być nie może Polakom.

Szanownym czytelnikom zapewne jest już wiadomo, że zmarł na Wyszehradzie dnia 9 Sierpnia czcigodny ksiądz kanonik *Wacław Sztulc*, pierwszy tłumacz *Mickiewicza* i gorący przyjaciel Polaków. Nie nekrolog piszę, którym wyprzedziły nas dzienniki, dorzucam tylko słów kilka wdzięcznego wspomnienia na świeżą mogiłę. Był ks. *Wacław Sztulc* zacnym kapłanem, wzorowym patriotą, wybornym literatem i wytrwałym przyjacielem tych, których polubił. Powiedziałbym, że ks. *Sztulc* był „czeskim panslawistą“, bo, właśnie jego poczucie panslawistyczne uczyniło z niego tak gorącego, wytrwałego i uezynnego przyjaciela Polaków.

Właśnie temu pół wieku (bo 1837 roku) wyszło pierwsze wydanie jego przekładu „*Konrada Wallenroda*.“ Od tego czasu nie przestawał ks. *Sztulc* zapoznawać swoich ziomków z literaturą pobratymczego narodu, nie przestawał też pracować nad tem, ażeby oba społeczeństwa nawzajem się zbliżyły. Stosunki ks. *Wacława* z Polakami były głębokie i liczne. Będąc jeszcze studentem, zawiązał w Pradze przyjazny stosunek z księciem *Jerzym Lubomirskim*. Przyjaźń ta, dozwonna, była najidealniejszym łącznikiem czesko-polskim. Z czasem książę *Lubomirski* stał się gorącym zwolennikiem Czechów, czego tyle szlachetnych dał dowodów w ciągu całego swego życia. Był on wytrwałym przyjacielem pobratymczego narodu; jego poczucie względem Czechów nie szwankowało nigdy, bo było głębokie i osnute na przekonaniu. Żadne chwilowe niepowodzenie, żadna przykrość nie oddziaływała szkodliwie na przekonania obu tych mężów, którzy ideałom swoim wierni zostawali do ostatniego tchnienia. Zatrdując się na sprawy z wyższego stanowiska, nie podlegali chwilejności i z wiarą patrzyli w przyszłość.

Książę *Sztulc* jako tłumacz *Mickiewicza* nie mało zasłużył się około spopularyzowania największego wieszczu słowiańskiego w Czechach. Ze przekłady *Mickiewicza* miały pod pewnym względem też wpływ na rozwój piśmiennictwa czeskiego, już gdzieindziej nadmieniliśmy. Lecz nie jedne tylko przekłady stanowią zasługę zacnego kapłana względem Polaków. Z wiele obfitej działalności niech wspomnę jego odczyty o rzeczach polskich, mianowicie o „*Dziadach*“ i o „*Krasińskim*“, które ogromne miały powodzenie i niesłychanie głębokie wrażenie wywarły na zawsze, na licznie zebraną publiczność czeską. Zdaje się, że tak, jak ks. *Sztulc*, nikt nie mówił o *Krasińskim*, którego—nawiasem mówiąc—czeski prelegent znał osobiście i osobiście też najwyżej ze wszystkich Polaków cenil. Mam nadzieję, że wkrótce wyjdzie gruntowniejszy życiorys znakomitego patrioty czeskiego; nie omieszkać też zapoznać łaskawych czytelników z najważniejszymi i mniej znanymi szczegółami. Dodaję tu jeszcze, że w puściźnie po ks. *Sztulcu* znajdują się niezawodnie poezye odnoszące się do Polaków, dotychczas niedrukowane. W puściźnie gronie swoich przyjaciół, bywających u niego na Wyszehradzie, nieraz czytywał takie „niedrukowane poezye.“ Kilkanaście z nich, cały cyklus, poświęcony jest pamięci „najlepszego ducha, księcia *Jerzego Lubomirskiego*.“ Życzyć sobie wypada, aby spuścizna ta dostała się do rąk publiczności.

Z *Libochowic* dochodzi właśnie wiadomość, że zmarł tam dnia 19 Września znany literat czeski *Rudolf Pokorny*, pilny tłumacz z języka polskiego. Literatura czeska zawdzięcza mu bardzo dobry przekład poezyi *Bohdana Zaleskiego*, których jeden tom wydał w „*Poezji światowej*“ (W tymże zbiorze wyszedł też „*Pan Tadeusz*“ w tłumaczeniu *Eliszki Krasnohorskiej* i „*Poezje Słowackiego* w tłumaczeniu *Ot. Mokrego*). *Rudolf Pokorny* wydał też prócz kilku zbiorów oryginalnych poezyi dwa tomy podróży po kraju Słowackim pod tytułem: „*Potulky po Slovensku*.“ *Pokorny* ze szczególnem upodobaniem zajmował się Słowakami, nieraz między nimi bywał, naśladował nawet ich poezye narodowe.

Umarł w młodym wieku, mając zaledwie trzydzieści kilka lat; zostawił żonę i dzieci.

W poprzednim naszym liście uczyniliśmy wzmiankę o polskich wieczorkach muzycznych, urządzanych w domu p. Ferdynanda Naprstka. I ten gościnny protektor polskiej muzyki dziś już należy do nieżyjących.

Nad zapomnianą mogiłą dawno już zmarłego L. Rittersberga, jednego z najpracowitszych literatów czeskich z lat pięćdziesiątych nareszcie wdzięczna myśl potomności, postawiła skromny pomnik. Dawno już należało się to cichemu i zasłużonemu pracownikowi. Czynie zaś w tem miejscu umyślną wzmiankę o Rittersbergu dlatego, że właśnie też on należał do grona ludzi, którzy zawsze starali się dobre utrzymywać stosunki z Polakami. Był on w bliższej przyjaźni mianowicie z litewskimi literatami i serdeczny stosunek zawiązał był głównie z A. H. Kirkorem, ówczesnym wydawcą „Teki wileńskiej,” do której Rittersberg pomagał pisać sprawozdania o literaturze czeskiej. Literaci wileńscy wezwali też Rittersberga do napisania Słownika czesko-polskiego, do czego jednak nie przyszło.

W końcu z przyjemnością donoszę, że wkrótce w Pradze rozpoczętym będzie druk słownika języka polskiego i czeskiego. Układa go professor F. A. Hora.

Edward Jelinek.

## Wiadomości z Medycyny i Hygieny.

### Niemoc nerwowa (Neurasthenia).

(Określenie choroby, objawy, przyczyny i leczenie).

Choroby nerwowe dopiero w ostatnich paru dziesiątkach lat dokładnie zbadanymi zostały, i, niestety, wyznać należy, tylko dzięki temu, że wypadki cierpienia dotykających systemat nerwowy prerażliwie się teraz mnożą. Wobec takiego rozpowszechnienia się chorób nerwowych, uczeni zwrócili baczną uwagę na jedną z nich zwaną *niemocą nerwową*, dokładnie ją zbadali i opisali. Zapoznanie czytelniczek *Bluszczu* z istotą, objawami, przyczynami, sposobami zapobiegania i leczenia tej choroby,—stanowi dążność niniejszego artykułu.

Dokładne opisanie neurasthenii zawdzięczamy amerykańskiemu lekarzowi Beard'owi. Przedtem podciągano ją zazwyczaj pod kategorię innych chorób a przedewszystkiem zaliczano do Hysterii, Hypochondrii, Melancholii i t. p.

Pod niemocą nerwową rozumieć należy ogólne osłabienie systematu nerwowego, które przejawia się rozmaitemi symptomatami chorobliwymi.

Co się tyczy natury tego cierpienia, to nie będziemy nad nią szczegółowo się zastanawiali, tembardziej, że teorie są rozliczne, i nauka w tym względzie jeszcze ostatniego słowa nie wyrzekła. Powiemy tylko, że systemat nerwowy indywiduów dotkniętych chorobą, o której mowa, nie przedstawia żadnych widocznych zmian ani dla gołego oka, ani dla uzbrogonego w mikroskop; jednakże przypuszczać należy, że w molekularnym składzie tkanki nerwowej zmiany bezwarunkowo zachodzić muszą. Wypada również dodać, że żadne inne organa w ustroju człowieka nie znoszą tak źle nawet najlżejszych zaburzeń w odżywianiu, jak organa systematu nerwowego. Najlżejsze zmiany zależne od zbyt wielkiego lub zbyt małego dopływu krwi sprowadzają stany patologiczne nadzwyczaj groźne, a gdy powtarzają się peryodycznie, są powodem chronicznego cierpienia, do którego niemoc nerwową zaliczyć wypada.

Jeżeli, jak to wyżej powiedzieliśmy, istota choroby nie jest jeszcze dokładnie znana, za to jej symptomatologia czyli zbiór objawów, jakimi się

manifestuje, został dokładnie opisanym. Charakteryzują się one wogólności albo *drażliwością*, *pobudliwością*, albo też osłabieniem wrażliwości. Podobna drażliwość nie tylko w systemacie nerwowym może być dostrzegana. Wiadomo, że chore płuco podlega daleko łatwiej wpływowi zmiennej temperatury, zaziębieniu, aniżeli zdrowe; że żołądek będący w stanie kataralnym, nie znosi najlżejszych grzechów dyetetycznych. W ogólności symptomata zależne są od tego: która część systematu nerwowego została głównie porażoną cierpieniem—mózg, rdzeń kręgowy, nerwy obwodowe czy też nerw sympatyczny.

W pierwszym razie mamy najczęściej zaburzenia w sferze zmysłowej. Chorzy cierpią na wielkie osłabienie wzroku, wrażliwość ich na światło jest nadzwyczajną; podrażnieni przez nie, chronią się do ciemnego pokoju i pozostają w nim przez kilka godzin, albo nawet dni parę, obawiając się światła. Można powiedzieć, że rozwija się u nich pewien rodzaj światłowstrętu. Doznają również halucynacji wzrokowych, biegania much (*mouches volantes*) i t. p. Daleko rzadszymi są cierpienia uszu, chociaż i tu bywa pobudliwość, przy cokolwiek silniejszym dźwięku, do tego stopnia podrażniona, że chorzy zatykają uszy watą, zawiązują chustkami i obawiają się wszelkiego hałasu. Podobne podrażnienia pojedynczych organów oddziałują szkodliwie na cały systemat nerwowy. U neurastheników władze umysłowe są zawsze osłabione. W wysokim stopniu tracą oni wolę i energią, czyni ich są raczej skutkiem jakiegoś nienormalnego popędu, a nie wynikiem rozumnego, samoistnego zastanowienia. Opanowywa ich pewien rodzaj pesymizmu, utracają nadzieję, co stanowi najczęściej bardzo wybitny kontrast z ich zdrowym wyglądem. Życie dla podobnych istot jest ciężarem; same one utrzymują, że nie są zdolne podołać zadaniom, jakie życie na nie wkłada. Skutkiem tego rozwija się w nich, bez żadnego powodu i żadnej podstawy, niczem okiełznać się niedający strach. Dr Beard mówi o jednej swej pacjentce, która letnią porą doznawała nieprzewycięzonego strachu przed burzą, i, skutkiem tego rachowała chmury. Zapewnia, że odziedziczyła to po swej babce, i że jej matka, gdy jeszcze w kolebce była, zauważyła wpływ niezwykle, jaki na nią burza wywierała.

Odmianą owej obawy u dotkniętych niemocą nerwową jest *teknie się przestrzeni* (*agoraphobia*). Objaw ten zależy na tem, że osoby dotknięte nim na widok większych przestrzeni, placów, doznają tak wielkiego strachu, że nie mogą zrobić ani kroku i pozostają nieporuszone na miejscu. Daleko rzadszym objawem jest obawa przed zamkniętą przestrzenią. Tacy chorzy nie mogą pozostać w małych pokojach i muszą spędzać życie albo na otwartem powietrzu, albo też w bardzo obszernych salach.

Wcale nierzadko zostają dotkniętymi *antropofobią* t. j. obawą przed ludźmi; wtedy przebywanie szczególnie w liczniejszych towarzystwach staje się dla nich nieznośnym. Podobni chorzy porzucają swe zajęcia i pędzą czas w samotności.

Dotknięci niemocą nerwową tracą stopniowo władze intelektualne, nie są w możności przez czas dłuższy myśleć o jednym przedmiocie. Sfera myślenia podlega zaburzeniom, jedne myśli gonią drugie; prócz tego rozwija się w wyższym lub niższym stopniu osłabienie pamięci, tak, że np. zapominają imion krewnych lub dobrze znanych osób, kiedyindziej rozpoczętą rozmowę nagle urywają, bo „wątek myśli się zerwał,” i dokończonej przemówienia w żaden sposób nie mogą. Bardzo często skarżą się na niemożność pracowania. Najlżejsza nawet robota męczy ich prędko, nie są np. bez dłuższych przerw w stanie napisać listu.

Jeżeli przeważnie porażonym jest mlec kręgowy, chorzy skarżą się na bóle w krzyżu albo w pewnym ograniczonym miejscu, albo też na większej przestrzeni; prócz tego doznają bólu w kończynach. Najwybitniejszym jednakże symptomatem jest osłabienie siły mięśniowej. Najlżejsze znużenie, przechadzka, nawet stanie, męczy w najwyższym stopniu tak, że chorzy zmuszeni są zaniechać wszelkiej czynności i spocząć. Objawem

takiego stanu jest również niepewność w ruchach; chorzy tacy chwieją się na nogach, chodzą jak pijani i często bardzo padają. Nierzadkiem zjawiskiem jest drżenie w kończynach górnych; szczególniej wyraźnie objawia się ono przy ujęciu drobnych przedmiotów, lub takich, z którymi należy ostrożnie się obchodzić, jak np. szklanka napełniona płynem.

Prócz powyższych objawów, zależnych bezpośrednio od centrów nerwowych, obserwować można cały szereg mniej ważnych pozornie, niemających żadnego związku z cierpieniem głównym, a pomimo to bardzo charakterystycznych. Tu zaliczyć należy zmianę barwy na twarzy, która bez żadnych ważniejszych przyczyn, z wielką łatwością, z bladej staje się naraz czerwoną, aby po krótszym lub dłuższym czasie, również bez przyczyny, wrócić do pierwotnej bladeści. Bardzo wielu neurastheników nie jest w możności przez czas dłuższy prowadzić rozmowy, aby im twarzy nie pokrył szkarłatny rumieniec, przyczem oczy zwykle nabierają połyskującego blasku. Zmiany te są prawie zawsze w ścisłym związku z symptomatem znanym pod nazwą palpitacji serca, której osoby dotknięte niemocą nerwową prawie zawsze podlegają. Jeżeli obserwować podobne indywidua, to łatwo przekonać się, że lada jakie wzruszenie, przestach, radość i t. p. przyspiesza w jednej chwili ich puls z 60 na 100 lub nawet 120 uderzeń na minutę, przyczem doznają nieprzyjemnego uczucia w okolicy serca, duszności, ściskania w gardle, słyszą uderzenia własnego pulsu i t. p. Nie rzadko w podobnych wypadkach puls staje się nieregularnym i tak częstym, że go zliczyć nie podobna, co w pierwszej chwili można bardzo łatwo wziąć za wadę serca. Znam osoby, które właśnie, skutkiem podobnego cierpienia są przekonane, iż posiadają wadę sercową, i pomimo wszelkich zapewnian, nie pozwalają się przekonać, że stan, jakiemu podlegają, zależnym jest jedynie od wzmożonej wrażliwości włókien nerwowych wpływających na funkcję serca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Kronika działalności kobiecej.

— W dalszym ciągu nagród przyznanych kobietom na Wystawie Krakowskiej, w dziale wychowawczo naukowym, otrzymała medal srebrny p. Amelia Makowska, żona kierownika zakładu ociemniałych, za „wieloletnią, bardzo skuteczną i bezinteresowną nauką robót ręcznych w oddziale dziewcząt.“ Takież medal srebrny przyznano szkole wydziałowej S-tej Scholastyki w Krakowie „za znakomicie prowadzoną naukę rysunków i robót ręcznych kobiecych,“ oraz szkole żeńskiej pod Wawelem (kierowniczką p. Pogonowską). Szkoła żeńska w Tarnowie otrzymała medal brązowy.

W dziale przemysłu domowego otrzymała medal srebrny Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego księżna Marcellina Czartoryska z Wiązownicy „za wytrwałe i skuteczne opiewanie się koszykarstwem, jako przemysłem domowym, w Powiecie Jarosławskim. Medal brązowy przyznano p. Augustynowiczowej z Makowa za zbiór haftów i koronek, oraz za opiekę nad rozwojem tych robót w Makowie między ludem. Po dwa dukaty w złocie przyznano: Maryi Wołos z Cieplic i Iwanickiej z Rusek.

W dziale środków spożywczych przyznano medal srebrny p. Grzybińskiej ze Lwowa za makarony i p. Seelingowej z Iżdebną za wódki, oraz medal brązowy za konserwy.

W dziale robót kobiecych przyznano medale srebrne: szkole koronkarskiej w Zakopanem i szkole S-tej Scholastyki w Krakowie. Medale brązowe otrzymały: p. Helena Gabrielowa za koronki, wyrobione przez uczennice jej szkoły

w Warszawie; p. Neuzilowa, kierowniczka szkoły w Zakopanem za wzorowe prowadzenie szkoły; współpracowniczkę szkoły Ś-tej Scholastyki pp. Jaworska, Mayerbergowa i Żarska za staranną i skuteczną pracę. Listy pochwalne przyznano: baronowej Czechowiczowej, kierowniczce szkoły koronarskiej w Kanczudzie, Stowarzyszeniu Pracy Kobiet we Lwowie.

W tymże dziale przyznano wystawczyniom: Medale srebrne za kunsztowne hafty: pp. Biedrońskiej Chlebowskiej i Teodorowiczowej. Medale brązowe: Puchalskiej z Krakowa za papierowe ujęcie bukietów (manszety) Szalkiewiczowej ze Lwowa, i Zawadzkiej z Krakowa za kapelusze. Listy pochwalne: księżniczce Róży Czartoryskiej z Woli Justowej za malowanie na aksamicie, Wiszniewskiej za rysunki do haftu, Leonii Sawczyńskiej ze Lwowa za wyszycie ścięgiem gałzkowym na obrusie obrazu Wieczera Pańska, Franciszce Lewickiej i Siostrze Miłosierdzia z Przeworska za koronki klockowe; Soblikowej za ubiory dziecinne, Zofii Jakubowskiej za stół robotą nakładana.

W grupie techniki reprodukcyjnej otrzymała medal brązowy Wanda Starzeńska, drzeworytniczka.

Odnaczono jako wystawczynie wybitniejsze: Barbarę Boufle, prowadzącą przy krakowskim seminaryum żeńskim kurs nauki robót przemysłowo-artystycznych, oraz roboty koszykarskie, wystawione przez uczennice seminaryum krakowskiego, Barbary Darowskiej pracownią haftów i ozdób kościelnych, Ernestyny Kohn pracownię robót ręcznych kobiecych, Maryi Romiszewskiej fabrykę pończoch, roboty krawieckie p. Gostyńskiej z Krakowa i Dutkiewiczowej ze Lwowa. Wystawa będzie przedłużona do d. 12 Października, dział sztuki w Sukiennicach do d. 15 Października.

— Na Wystawie Nasion hr. Potocka z Wilanowa dostała trzy nagrody za zbiór nasion warzywnych i okazały cenne kartofli, jedne nadające się do uprawy ogrodowej, inne do uprawy polnej. Wprawdzie pani ta nie prowadzi gospodarstwa dóbr swoich osobiście i zdaje to na rządców, ale niemniej nagrody wszelkie w tym kierunku dobrze są jej przyznane, bo jest zasługą osobistą takie pokierowanie zarządkiem posiadłości swoich, aby były dobrze zarządzane. Zasługa to obywatelska i bynajmniej nie mała lecz u nas, na nieszczęście, nie dość powszechna.

— Na uniwersytecie genewskim ukończyły z odznaczeniem studia: na wydziale literackim pp. Józefa Krzyżanowska i Wanda Wojnarowska, na wydziale przyrodniczym p. Wiktorya Młodziejowska.

— Wiadomością interesującą osoby, które prowadzą gospodarstwo nabiałowe jest fakt, że agenci handlowi zakupili w Lubelskiem i gubernii wołyńskiej 4,800 pudów masła, które odeszło do Hamburga i Londynu koleją Warszawsko-Bydgoską. Droga zbyt jest już zatem otwarta dla produkcji naszej nabiałowej, chodzi tylko o to, aby towar był odpowiednio dobry i nie zdekredytował się wobec nabywców. I pod tym względem życzyć sobie należy, jak najmocniej, aby we dworach zajmowano się wyrobem masła, nie zdając tego w ręce pachciarzy, którzy zwykle liczą na zysk doraźny i produkują licho, aby koszta wyrobu były najmniejsze.

— W Szwajcaryi praca kobieca w przemyśle jest bardzo rozwinięta i według liczb statystycznych, świeżo przez rząd ogłoszonych, lękać się trzeba, czy w fabrykach szwajcarskich nie dzieją się te rzeczy smutne, przeciw którym w Niemczech i Austrii walczyć usiłują, mianowicie, że pracodawcy, dla tańszosci pracy, robią jej w fa-

brykach miejsce z pominięciem mężczyzny, co przewraca naturalny porządek rzeczy, bo mąż zostaje z dziećmi w domu, gdy matka rodziny idzie męczyć się w pracy fabrycznej, która ją wysila i źle oddziaływa tak na jej, jak i na przyszłych pokoleń zdrowie i siły. W Saxonii jest już tak poważnie w przemyśle tkackim i powtarza się to w Szwajcaryi. W fabrykach zuryskich tkanin jedwabnych pracuje 30,000 kobiet; w całej Szwajcaryi jest ich w tej gałęzi pracy zajętych przy warsztatach mechanicznych 51,352, mężczyzn 11,771. W fabrykach tkanin bawełnianych 28,846 kobiet—mężczyzn 18,320. W fabrykach płótna i półpłótna 5,232 kobiet — mężczyzn 5,553 i ta mała przewyżka jest jedyną i nie znaczącą w porównaniu przewyżki pracujących kobiet w innych gałęziach przemysłu tkackiego. W fabrykach wełnianych i półwełnianych wyrobów 2,022 kobiet—1,470 mężczyzn, w fabrykach haftów mechanicznych 21,000 kobiet, mężczyzn 15,724. Przemysł tkacki w Szwajcaryi zajmuje zatem 103,452 kobiet a tylko 52,838 mężczyzn. Przytem we wszystkich gałęziach ważniejszych pracy fabrycznej znajdują się licznie kobiety, a prawie niema żadnej takiej, gdzieby ich weale nie było.

Jest to stan rzeczy nienaturalny i oburzający, przykro też pomyśleć, że się może utrzymać w takim kraju, jak Szwajcaryja, gdzie samorząd obywatelski powinienby być czulszym na podobne nadużycia.

— Drugie pismo kobiece pod tytułem: „Galatea,” zaczęło wychodzić w Rzymie; redaktorką i wydawczynią jest Klelia Bertini Allii.

— W kobiecej szkole stenografii w Padwie stanęło do dorocznych egzaminów uczennice dwanaście i wszystkie przeszły z pochwałą. Nauczycielka ich, signorina Elnava Gloria, otrzymała podziękowanie od kuratorium miejscowego.

— Hulda Lundin, inspektorka robót ręcznych w elementarnych szkołach w Sztokholmie, nakazała naukę grubego szycia i cerowania rozciągnąć i do chłopców dzięki temu w przyszłości, jako terminatorzy lub posługacze będą mogli sobie sami sporządzać odzież rozerwaną.

## Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Na Szlaku pruskim piśmiennictwo utrzymuje się dotąd w złości i krzepi ducha w biednym ludzie tamtejszym. W Bytomiu obok wychodzącego tygodnika *Katolik*, który się rozchodzi w liczbie 10,000 egzemplarzy, zaczął wychodzić od Kwietnia bieżącego roku miesięcznik *Światło*, liczący już 3,000 prenumeratorów. *Światło* jest bardzo dobrem pismem ilustrowanem, poświęconem szczególnie rzeczom swojskim, przeszłości i jej pamiątkom, poznajamianiu czytelników z krajem. Język w nim poprawniejszy, niż w innych, wydawanych na Szlaku pismach, ilustracje, których jest wiele, są brane z pism warszawskich, a taniść pisma wielka. Wydawca, ksiądz Radziejowski, który po Miarce podjął szlachetne, a trudne zadanie obrony ducha ludu na Górnym Szlaku, jest wydawcą obu pism.

— Książka księcia Napoleona: „Napoléon et ses detracteurs,” będąca odpowiedzią Taine'owi na jego monografię Napoleona I, rozeszła się w przeciągu dni trzech w liczbie 11,235 egzemplarzy. Pisana gorąco, z ogniem i wielką siłą słowa, stanowi w Paryżu, a nawet we Francyi, jakoby wypadek polityczny. Drukują się jej dalsze egzemplarze, których ma być 100,000.

— **Nowa sztuka Sardou**, napisana dla Sary Bernhardt, w 5 aktach i sześciu obrazach, pod tytułem: „La Tosca”, rozgrywa się w Rzymie na drugi dzień po bitwie pod Marengo. Spiewaczka rzymska i królowa neapolitańska są jej bohaterkami. Włoskie patryotyczne uczucie jest tłem treści.

— **Zamek Chillon** ma zostać odrestaurowany z zamiarem uczynienia zeń szwajcarskiego historycznego muzeum. Utworzyło się w tym celu stowarzyszenie, które w dniu 15 Września zebrało się w starożytnych murach i, z prezydentem kantonu Waadt na czele, ułożyło plan postępowania. Poemat Byrona ma być uwieczniony przez szereg fresków, których treść będzie z niego wzięta.

— **Odkrycie belgijskiego inżyniera van Ryselberghe**, uczynione przed sześciu laty, użycia drutów telegraficznych jako telefonów, znalazło wielkie zastosowanie: 15,123,600 metrów drutu telegraficznego zostało już w ten sposób na przenoszenie głosu zużytkowanych. Na Niemcy przypada ich 2,512,000 metrów. Przygotowuje się ich obecnie do tego użytku 5,920,000 metrów.

— **Wiadomości o wyprawie Stanleya** dochodzą do d. 2 Lipca. Przesłał je do Leopoldville major Barttelot, który z orszakiem stu ludzi pozostał w obozie Jambunga nad rzeką Aruwimi. Stanley przysłał te wiadomości do obozu po dziesięciodniowym marszu w głąb kraju. Trzymał się on wciąż prawego brzegu rzeki, którą znalazł na znacznej przestrzeni żeglowną. Towarzysze jego byli wciąż tak, jak i on, w dobrem zdrowiu: w żywność można się było łatwo zaopatrywać w wielkich wioskach, znajdujących się w pobliżu rzeki. Inna karawana, złożona z 480 ludzi, postępowala wraz z wyprawą lewym brzegiem Aruwimi. Stanley spodziewał się, że w d. 22 Lipca stanie w środkowym punkcie dzielnicy Mabobi, a w połowie Sierpnia dociągnie do Wadela.

— **Hollenderski podróżnik**, i można powiedzieć, śmiałek, Dr Snonck Hargronnie, nie tylko dostał się do Mekki, ale w niej przebywał sześć miesięcy, spisując pamiętnik widzianych tam rzeczy. Wyuczywszy się wybornie tureckiego i arabskiego języka i przebrawszy się za tureckiego effendego, połączył się z karawaną pobożnych pielgrzymów, i pieszo odbył z niemi ogromną drogę, poszcząc i modląc się po nocach. Jakoby z wielkiej miłości dla grobu Proroka, pozostał w Mecce i byłby szczęśliwie dobył tam do końca, gdyby nie gadatliwość francuzkiego vice-konsula w Dżedza, który jedynie znał tajemnicę.

— **Badacz Afryki** i przyjaciel Emin Beya, Dr Junker, Bawarczyk, przebywa obecnie w Turyn-gii, pisząc historię i początek powstania rewolucyjnego Madhiego. Był on naocznym świadkiem wypadków zaszłych w Sudanie, znał Gordona i zostawał z nim w stosunkach. W bieżącym miesiącu ma wyjść ta książka jego, zapowiadająca się jako coś bardzo ciekawego. Na wiosnę roku przyszłego wyjdzie dwutomowe dzieło jego podróży po Afryce.

— **Tomasz Kirkup**, Anglik, zamieścił w ostatnim numerze londyńskiego wydawnictwa „Encyclopaedia Britannica”, obszernie studyum o socjalizmie, które wyjdzie wkrótce w oddzielnej książce pod tytułem: „An Inquiry into Socialism.” Rzecz ma być bardzo cenna jako nagromadzenie szczegółów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczeru* dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: **Dzisiejsi** przez H. Rabusson.

**TREŚĆ:** Vox Dei, poezya, przekład z czeskiego, Miriama.—Księżna Izabella, (dalszy ciąg).—Filibry, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawałowicza.—Notatki pedagogiczne, przez Maryę Ilnicką.—Echa z Czech, przez Ed. Jelinka.—Wiadomości z higieny,—przez Dra J. Starkmana.—Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 1-szy 2-gi powieści pod tytułem: **Godność kobiety**, przez H. Heinberg. — Przegląd mód. — 24 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozytęją stołu.



**Przegląd mód.**

Jesień. — Materiał modny. — Dżety. — Fasony okryć. — Ozdoby do tychże. — Siutaszowanie. — Płaszczki długie. — Kolory. — Szlaki. — Fason kostiumu. — Pierwsze zimowe materiały u pana Makowskiego.

Wiatr jesienny daje już nam zapowiedź zimowego sezonu, o którym w kwestyi mody jeszcze bardzo mało powiedzieć możemy, wiemy jednak, że reforma będzie wszędzie stanowcza, wszędzie pokazuje się największa prostota, która zawsze oznacza gust szlachezny. W materiałach zimowych przeważa sukno, który sam rodzaj wyrobu, musi usunąć wszelkie, zbyt oryginalne fantazywanie. Zda się, że w kierunku dżetów, jako ozdoby płaszczków, okrywek i t. p. przedmiotów, moda położy swoje veto, a to pozwala nam przypuszczać, że w całej konfekcyi nastanie nowy zwrot mody.

Na okrywki jesienne przedewszystkiem używane będą lekkie sukienka w kolorach czarnym, szarym, brązowym, granatowym, oraz ciemno-



Nr 2. Suknia z gładkiego i w paski materiału. Plecy. (Do ryc. 5).



Nr 1. Fartuszek dla dziewczynki od 2 do 4 lat (Do ryc. 22). Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 29.

wykonane i pokrywa prawie całe okrycie, jest prześliczną i bogatą ozdobą. Jedną z nowych ozdób okryć, będą koronki pasmanteryjne, w połączeniu ze sztywnym atlasowym sznurem, pikotami i grubym jedwabiem. Szlaki tureckie jedwabne w kolorach starych indyjskich szali, służą również do ozdoby okrywek. Długie płaszczki zawsze tak lubione, z szewiotu „foulé”, lub sukna z powodu, zmniejszonej tiurniury, wymagają stanika z sutą faldowaną baskiną, płaszczki bowiem zwykle są aż do pasa rozcięte i na jedwabnej podszewce.

Przypuszczalnie, bo nic jeszcze na pewno powiedzieć nie można, paski ostatnimi czasy wracające do mody, ożywią znowu kostiumy z ciemnych sukiennych materiałów. Połączenie modnych kolorów jest przede wszystkim szafrowy w odcieniu „bleu-marin” z kolorem żółtawo-glinianym, dalej zielony z pasowym, jasno i ciemno-brązowy, jednak wszystkie te kolory powinny się łączyć



Nr 3. Suknia z flaneli w paski Plecy. (Do ryc. 1 w Ilu. Nr 41).



Nr 4. Suknia z gładkiego i w kratkę materiału. Opis odwr. str. tabl.



Nr 5. Suknia z gładkiego i w paski materiału. Przód. (Do ryc. 2). Opis. pierw. str. tabl.

zielonym. Formy zostaną te same, z tyłu krótkie, przylegające do figury, z przodu dłuższe lub krótsze, ze śpiczastymi końcami. Z powrotem sukna, wyszywanie siutaszem, pletnią i sznurem wejdzie w użycie, a zaznaczyć musimy, że już dziś wszystkie paryzkie żurnale i pojawiające się modele, są wyszywane siutaszem, co i do sukni daje się zastosować, jak tego bardzo ładny model podaliśmy w Nr 39, pod ryc. 27. Naszywanie płaszczków pletnią, jeżeli tylko wypukło jest



Nr 6. Suknia z aksamitu w kratę i gładkiej wełny. Opis odwr. str. tabl.



Nr 7. Okrycie z wełny w kratę. Plecy. (Do ryc. 5 w Bl. Nr 41). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 39-44.

Przód. Nr 10 i 11. Paltocik dla młodej pani. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 32-38. Plecy. Nr 8. Okrycie dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Przód (Do ryc. 14). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr 11, fig. 10 i 16.

Nr 9. Płaszcz z matelassé. Opis pierw. str. tabl.

Nr 11. Okrycie z sukna i pasmateryi. Opis pierw. str. tabl.

Nr 13. Okrycie dla dziewczynki od 4 do 6 lat. Plecy. (Do r. 20 w Bl. Nr 41). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 10-16.

Nr 14. Okrycie dla dziewczynki od 5 do 7 lat. Plecy. (Do ryc. 8).

Nr 15. Okrycie z dyagonalu. Przód. (Do ryc. 4 w Bl. Nr 41). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 24-28.

Nr 16. Okrycie z aksamitu w pasy. Opis odwr. str. tabl.

Nr 17. Okrycie z „pekin-velours”. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1-9.

M O D Y P A R Y Ż K I E.

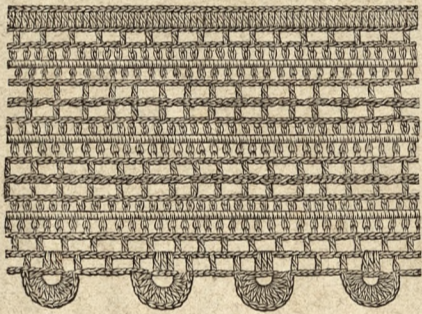
*Anis Courton*

w harmonijną całość z obraniami pasami. Szlaki wszelkiego rodzaju służyć będą do ozdoby kostiumów, a piszą nam z Paryża, że tam już pasy „bulgarskie“ należą do najmodniejszych.

W magazynie „Au printemps“ (Kredytowa, Nr 9), pokazywano nam już śliczny kostium jesienny z gładkiego zielonego „faillé“, materiału gładkiego, brzybranego w dole na spódnice dwoma, różnej szerokości pasami starożytnymi, wyciętymi z szala tureckiego, tiunika gładka, wyłożona z jednej strony szlakiem szerszym — pasek także — ozdoby dopełniał kołnier, wyłożony w szal ze szlaków i także ranwersy do rękawów. Wykończenie staników w tym magazynie, oraz wielki wybór modeli, a przede wszystkim wytworny gust samej właścicielki, stawia dziś magazyn „Au printemps“ w pierwszym rzędzie.

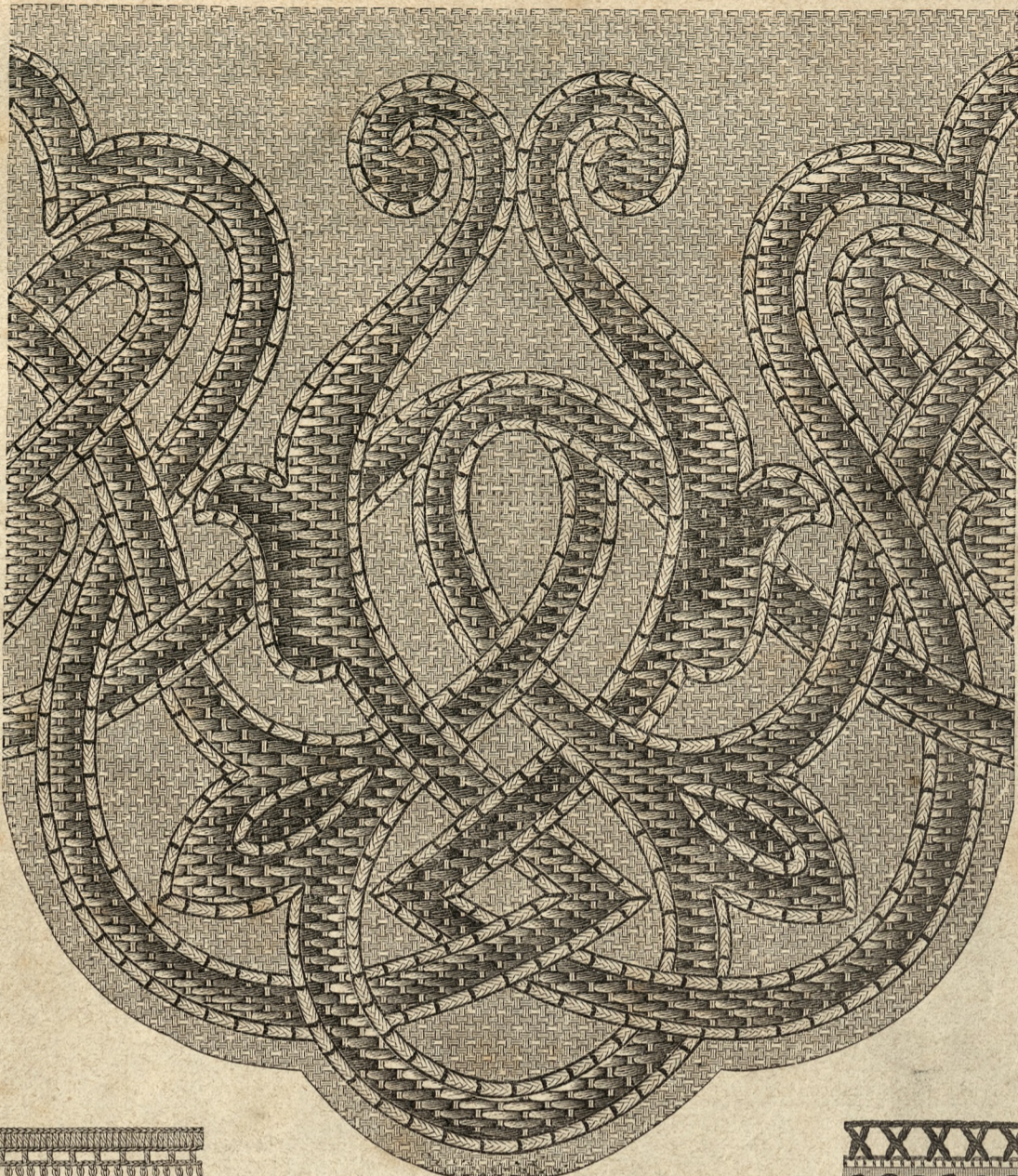
Pan Makowski już dostał pierwsze zimowe materiały — największe nowości są w pasy, jak to już pisaliśmy z zagranicy, ciemne, nie wyraźne kolory, pasy szerokości 1 lub 2 cent., w dwóch ciemnych kolorach; niekiedy rozdziela je nitka, niby srebrna lub jasna — do tego materiał gładki, na przybranie służy plusz albo w szachownicę różno-kolorową, albo w pasy kolorowe cieniowane w morowy deseń; niektóre, jak np. pasowe, są w jednym cieniu, zawsze z blaskiem i odbiciem mory.

Zanim w przysłym przeglądzie podamy więcej szczegółową wiadomość o nowościach mody, wspomnieć tu jeszcze musimy, że materiały będą od razu w wyrobie ich siutaszowane, aby oszczędzić leniuzkom pracy wyszywania. Materiały takie nie będą w odpasowanych sukniach, jak to bywało kiedyś, ale wprost do sprzedaży na łokcie; moda to w każdym razie mało praktyczna, bokurz, który się między wyszywania dostaje, nie daje się łatwo usunąć, ztąd wielka trudność w oczyszczeniu takich sukien, które przecie musi być bardzo staranne, aby suknia nie wyglądała przed-



Nr 21 Koronka minardisa i szydełkową rob.

zawsze z blaskiem i odbiciem mory. Zanim w przysłym przeglądzie podamy więcej szczegółową wiadomość o nowościach mody, wspomnieć tu jeszcze musimy, że materiały będą od razu w wyrobie ich siutaszowane, aby oszczędzić leniuzkom pracy wyszywania. Materiały takie nie będą w odpasowanych sukniach, jak to bywało kiedyś, ale wprost do sprzedaży na łokcie; moda to w każdym razie mało praktyczna, bokurz, który się między wyszywania dostaje, nie daje się łatwo usunąć, ztąd wielka trudność w oczyszczeniu takich sukien, które przecie musi być bardzo staranne, aby suknia nie wyglądała przed-



Nr 18. Żąb do pokrycia na parapet ryc. 19 Zmniejszony.



Nr 20 Koszyczek do roboty Deseń odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 68



Nr 22. Część roboty szydełkowej do r. 1

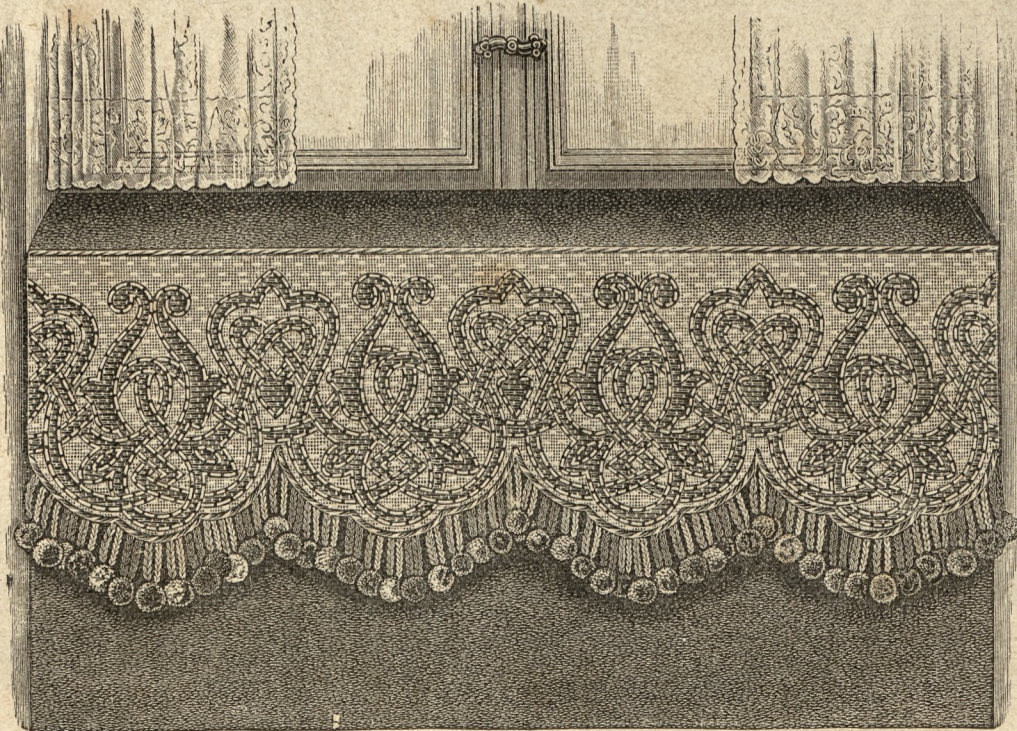
3. Paszтет z raków.
4. Pularda.
5. Szarlotka z jabłek.

Obiad na Niedziele.

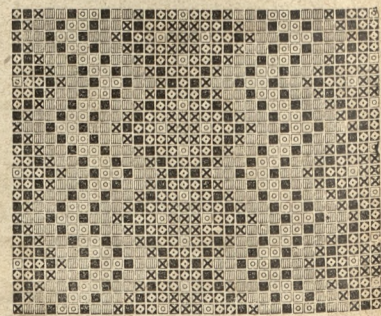
1. Zupa ogórkowa.
2. Polegdnica z rożna z jarzynami.

**U W A G A.**

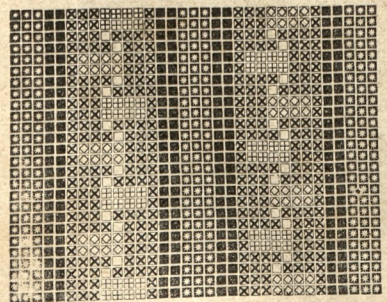
Opis ryciny Nr 1 i 18 do 21 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do niniejszego numeru.



Nr 19. Pokrycie na okno z haftowanym lambrekinem (Do r. 18). Deseń pirow. str. tabl. Nr VII, fig. 31.



Nr 24. Deseń na pantofle.



Nr 23. Deseń na pantofle.

## GOSPODARSTWO MIEJSKIE I WIEJSKIE.

## WYSTAWA W KRAKOWIE.

Kto zna Kraków — a znać go przecież muszą wszystkie czytelniczki nasze, dla tego powiem, że Wystawa mieści się na tak zwanych Błoniach, która to miejscowość zyskała ogromnie wiele, z łaski Wystawy, bo wybudowała do niej drogę, którą w dalszym ciągu prowadzić się będzie, wyrównano wilgotne gruntu na Błoniach, słowem zrobiono wszystko, aby Wystawę zrobić podobną do dzisiejszych wystaw europejskich. Na pierwszy rzut oka nie robi wrażenia ogromem, ale w każdym razie przedstawia się dodatnio.

Po za głównym wielkim pawilonem, mieszczącym w ogóle przemysł, stoją zabudowania dla bydła rogatego, trzody chlewnej i drobiu. Gdy Wystawę zwiedzała, bydła już nie było, mówiono mi przecież, iż było bardzo ładne. Widzieć mogłam jedynie tylko kilkanaście sztuk rasy szwajcarskiej i meklemburskiej, sprowadzonych dla podniesienia rasy. Ale trzoda chlewna mająca w dzisiejszem gospodarstwie bardzo wielkie znaczenie, przynosząca tak znaczne korzyści kobiecemu gospodarstwu, zainteresowała mnie bardzo. Przypominały mi się okazy dwa lata temu wystawione przez panią Ryksową, którą się gospodarstwo naszeszczęci. Tu najpiękniejsze okazy przysłały dobra Niegowiec, własność pana Atanazego Bena; świnie czystej rasy York-shire, białe, przebijające różowym odcieniem skóry, były prześlizne; kilka sztuk młodej pół-krwi angielskiej, po 4, 6 lub 8 tygodni mające, przedstawiały jasno, co za ogromne dochody daje produkcyjne gospodarstwo trzody. Wieprz opasowy trzyletni, ważył co najmniej naszych 400 do 500 funtów — leżał nie poruszając się wcale. Znajduje tu miejsce, do powiedzenia kilka słów o użytkowaniu mięsa świńskiego. Trzydzieści lat temu, gdy sama gospodarowała na wsi, przeznaczano w ogóle na szynki wieprze lub świnie opasowe stare i porównywano westfalskie szynki z naszymi, utyskując, że nigdy tym samym wyrównać nie mogą. Otóż od lat kilku, nie ma już dla nas pod tym względem sekretu; tam tylko młode świnie są użyte na szynki od pięciu do ośmiu miesięcy wieku, dla tego też kupcy pruscy, prowadzący przed niedawnym czasem z nami handel trzodą (dziś zabroniono przewozu inwentarza przez granicę), tylko młode zwykle zakupywali. U nas też od lat kilku także tylko młode szynki marynują się i wędzą na użytek handlu, a pierwsze zasługi pod tym względem należą się firmie Eberlaina, która tak świetnie wszelkie nowości swego fachu, przedstawiała na ostatniej Wystawie spożywczej.

Wracając do Wystawy, świnie pana Jezierskiego z Gebuttowa, także angielskiej rasy „York-schire“, zaznaczały się również czystością rasy i dobrem utrzymaniem zasługującym na wzmiankę. Była to młodość od 3 do 5 miesięczna — okazy śliczne i zaraz też zakupione zostały do dóbr ks. Sanguszkich.

Już to drób zupełnie nie miał właściwych Wystawie przedstawicieli; kilka gęsi szarych, jakoby „tuluzkich“, trochę kur gatunku „Bramaputra“ i „Linghorn“ (mniej znana rassa), trochę kaczek jakoby „pekińskich“, przecież mało podobnych do kaczek pani Ryksowej — przedstawiała pani Helena Podwiec. Drugą wystawczynią była pani Słodykiewicz Marya z Gawłowa, która w liczbie 20 okazów, przedstawiała 12 gatunków kurcząt i kogutów, nie przedstawiających się przecież tak, jak się to zwykle na wystawach widuje, gdy z każdego gatunku widzimy po sztuk kilkanaście, ale w liczbie takiej, jak dwoje kurcząt, lub jeden kogut,

lub kokosz, nie przedstawiały dostatecznie cech swego zagranicznego pochodzenia i zaaklimatyzowania u nas. Ceny kaczek dla rozpowszechnienia rasy, były dość wysokie, od 6 do 7 guldenów.

Chodząc po parku Wystawy, spotykałam się co chwila z kioskiem lub koszykiem mieszczącym pierniki Czyńskiego ze Lwowa, które znaleźć można w każdej miejscowości Galicji, lecz co do mnie, przekładałam nad nie pierniki pana Mołęckiego, pieczone nie na potażu, jak zwykle bywa, lecz na amoniaku. Te mi daleko więcej delikatnością swą do smaku przypadły, czuć w nich miód, co właśnie jest zaletą piernika, a nowy sposób ich wyrobu, zainteresował mnie bardzo. Ogromny piernik przedstawiający całą apoteozę piernikową, złożoną z uli, kwiatów, a wszystko na tle herbu Galicji, ślicznie się przedstawiał.

Pragnąc zwiedzić dział spożywczy, szłam dalej w tym kierunku, ale nie był zachowanym systemat przedstawiania jednogatunkowych okazów działami, co utrudniało zwiedzającym możliwość orientowania się i sądzenia o całości — porównywania między sobą okazów.

Warzywa i owoce rozłożone były na stołach drewnianych, bez żadnej ozdoby, bez żadnego estetycznego przybrania i to w niewielkiej ilości, więc też pod wszelkim względem wielka była różnica tego, cośmy mieli przed oczyma, a wspomnieniem Wystawy urządzonej przez szkołę ogrodniczą Jankowskiego, na trawniku, w ogrodzie Wystawy na Ujazdowskim placu. Przypnieć przecież musimy, iż miejski ogrodnik krakowski celuje gustem, trawniki wyłożone w same greki różnemi kwiatami i roślinami prześlizny sprawiały widok, a kramy kwiatowe i śliczne bukiety z suchych nieśmiertelników ogrodnika Traula, umieszczone w oddzielnym budynku, śliczną stanowiły całość. Z owoców wystawionych w miniaturowej liczbie, tylko brzoskwinie ze szkoły ogrodniczej w Czernichowie, zasługują na wzmiankę. Z przetworów owocowych: konfitur, konserw, soków i tym podobnych produktów, prywatnie wystawione przez panią Szymańską ze Spasowa, były bez zarzutu, tem bardziej, że słoiki były owego systemu amerykańskiego, o którym kilka lat temu pisałam — pokrywa śrubowana blaszana na kółko z gutaperchy, otaczającym brzeg słoika szklanego. Zawięzałam korespondencją w tym celu z panią Szymańską, prosząc o powiadomienie, gdzie nabyła słoiki takowe. Obok tego były wyborne soki innego wystawcy, ale nazwiska nie było — przynajmniej go dostrzedz nie mogłam, a katalog też nie zbyt systematycznie był urządzony, tak że nie zawsze można się było doszukać łatwo tego, co się wiedzieć pragnęło.

Dalej stały, także bez żadnego przyozdobienia, którego domagało się oko, ustawione miody księdza Andrzejowskiego — stare, z różnych lat, nawet z 1861 — cóż to za wyborne musiały być rzeczy, szkoda przecież, że tylko w przypuszczeniu, możemy mieć o nich wyobrażenie, ponieważ były zapieczutowane. Naraz przychodzi nam na myśl, dla czego to nasze panie gospodynie, zwłaszcza dziś w obec biedy, na którą wszyscy narzekają, nie zajmą się wyrobem miódów do picia, a przecież byłaby to praca dobrze się procentująca. Nie wszystkie miody można przerabiać na pierniki, które w ogóle mają popyt mniejszy, a zaczyna już być ich bardzo dużo, a napitek miodowy bardzo rzadko, kto wyrabia. U nas chyba jeden pan Wysocki, restaurator przy ulicy Królewskiej Nr 11. Dla czego tak jest? Można tu chyba przypuścić, że panie nasze są leniwe.

Idźmy dalej — cukiernicze wyroby rozrzucone są tu i ówdzie, jednak nie można by z nich nabrać dobrego wyobrażenia o smaku Galicji,

gdyby nie cukiernia krakowska pana Ruszkowskiego, która pojmując rzecz swą po europejsku w osobnej gablotce, wystawiła wspaniły tort piramidalny „baumkuchen“ zwany, przeszło dwa łokcie wysoki, wybornie wypieczony — zapewne robiony na dworze. Prawdziwie żałuję, że przy robocie tego baumkuchenu nie byłam, bo pieczony na rożnie, jak się robią baumkuchy, musiał być chyba przyrządzany na dworze, bo tak długiego ogniska, żaden kumin nie mógł przedstawić. Był też w całym znaczeniu wspaniały, obstawiony konserwami z gruszek nie obieranych i innych owoców; dalej leżały wyborne czekoladki i delikatne higieniczne sucharki. Nie wiem czy pan Ruszkowski dostał nagrodę, ale podług mnie, dostać ją był powinien.

Koroną wszystkich marynat i konserwów, były okazy pana Turliniego z Krakowa, wystawione elegancko na oddzielnym stoliku; poczynając od szyjek raków konserwowanych w occie, do majonezów, sosu tatarskiego w butelce, do najpyszniejszych okazów grzybów i pieczarek („au naturel“, bez octu) — wszystkie okazy były wzorowe; niezgodzilibyśmy się tylko na konserwę z pomidorów w butelce i szczawiu, te dwa okazy kazały oku memu wątpić, czy dobrze widzi.

Zawsze pana Turliniego, panią Szymańską i pana Ruszkowskiego, przedstawiałabym jedynie do nagrody w tym dziale. Pani Zelinogrowa, przełożona szkoły pańien w Tarnopolu, przysłała jarzyny suszone w słojach, dobrze się prezentujące, podobnie jak okazy makaronu włoskiego pani Grzybińska ze Lwowa, a choć były w kilku tylko gatunkach, jednak przypominały nam pyszną gablotę naszej warszawskiej fabryki pana Krzymuskiego, która ostatnia oddała z kraju naszego, wszelką konkurencję zagranicznych, niby to włoskiego, a rzeczywistości węgierskiego makaronu. Ślicznie wystawiła fabryka musztardy pana Lebenszteina z Krakowa swoje okazy. Na skale zrobionej z cegły, piramidalnie, w zielonym mchu ułożono słoiki wybornej musztardy francuzkiej, śmiało konkurencję stawiającej wybornej naszej takiejże musztardzie, fabryki „Artiura“. Na tem kończymy przegląd spożywczy.

Na ślicznych fortepianach z Przemyśla, grał kilkakrotnie znany dobrze w Krakowie fortepianista, pan Bylicki, a pod mięką grą jego, instrumenta przemyslskie, śliczne wydawały głosy. Obok fortepianów z jednej strony umieszcili się perfumerye Kernika z Krakowa, stawiając śmiało konkurencję znanym wyrobom Ignatowicza ze Lwowa. Bukiet cesarski Kernika, znaleźliśmy lepszy od francuzkich, drogo płatnych, a z pewnością najlepsze to są ze wszystkich dotąd znanych nam wszelkich polskich perfum. Z powodu nie tak systematycznego urządzenia Wystawy, jakby to sobie życzyć było można i mój opis o niej systematycznym być nie może, a przynajmniej musiało by to kosztować wiele pracy. Więc usiłowałam choć aby część jej spożywczą w prowadzić przy opisie, w ład jaki taki, porządkując sobie w pamięci okazy widziane, bo to mój przedmiot. Wybaczcie więc, że dalej musi to być takim bigosem, jak się rzeczy chaotycznie mi przedstawiały. Zaczynam od ślicznej kaflowej kuchni, do postawienia w każdym miejscu, gdzieby rurę można wprowadzić w komin lub luft jakiś. Cała kuchnia miała tylko dwie fajerki, bo przy tej sposobności muszę powiedzieć moim kulinarnym uczennicom, że na otwartej fajerce nie prócz wody, lub rzadkiego gazu, wyjąwszy mleka i śmietanki, gotować nie można, bo się przypała prędko gotując. Oprócz zwykłego pieca do pieczystego obok ogniska, po nad blachą w tyle był piec, gdzie potrawy gotowe dla utrzymania w równej temperaturze się stawały, tak jednak

urządzone, że za podłożeniem kilku kawalków drzewa, piec był gotów do upieczenia każdego ciasta, co przedstawia nie małą dogodność, bo w tak zwanym szabaśniku, źle się pieką ciasta. W tyle owego piecyka był rezerwoar na ciepłą wodę z kranem, wykręcającym się na wszystkie strony, do którego garnka chcesz dobrać — możesz, co za wygoda! Cała kuchenka jest też istnym pieścidelkiem i można powiedzieć, że szczęśliwą jest gospodyni, która może posiadać taką kuchenkę. Obok tego arcydzieła sztuki zdunskiej, spotykasz się z arcydziełami sztuki pozłotniczej wielkiej fabryki ram i rzeźb Krywulta — naszego Krywulta, który w salonie Hotelu europejskiego, zapoznał nas z tyloma dziełami sztuk pięknych. Wystawa Krywulta powinna była znaleźć miejsce w Sukiennicach, między dziełami sztuki, gdyż okazy jej posiadają pewne piękno artystyczne i wreszcie są związane ze sztuką tak, jak rama z obrazem...

Wspaniała ta wystawa mieści na wywyższonym prześlicznym stolicki z taboretami, złożone, pokryte pluszem, różnego fasonu, istne pieścidelka; dalej pułeczki o trzech kondygnacjach pluszowych i pałaczkach cienutkich złożonych; na ścianie zaś na tle gobelinowem, pozawieszane były różne najpyszniejsze okazy ram, gzymśów do firanek w nowym stylu: srebro, złoto i stal, ozdoby do sufitów i t. p. przedmioty, a między nimi widniała śliczna ramka ażurowo-filigranowa, gruba w objętości, jakby z samej rzeźby — słowem wystawa Krywulta, nie wątpię że zyskała złoty medal.

Spotykamy się w tem miejscu z gablotą lalk fabryki Müllera i Zabawskiej ze Lwowa, ta gablota jest ciągle obleżona przez publiczność, bo rzeczywiście takimi pięknymi lalkami, zaledwie Wystawa Paryzka poszczycić się mogła. Wszystkie narodowości są tu reprezentowane, i to w najdokładniejszych kostiumach, a odrobionych z istnie artystycznym wykończeniem. Znane nam są wszystkie te typy, które u nas jedna tylko firma pani Roszkowskiej, przy ulicy Niecałej Nr 12, w pewnym przybliżeniu wyrabia, ale zapewne nikomu nie zdarzyło się widzieć cyganki wróżącej, lub murzynki wyglądającej jak żywa. Typy Górali w różnych kostiumach. Jeden taki góral przywieziony przezemnie, ma każdą część garderoby wykończoną najdokładniej i tak, że go można ze wszystkiego wybornie rozebrać, koszula haftowana kolorowa, pasek jasny skórzany, zapięty na 3 sprzączki, kaftan biały skórzany, obłożony pasową, wycinaną w ząbki skórka, podszyty białymi barankami, a kapelusik to jakby zrobiony w fabryce naszego Weigta, tylko że dotąd jeszcze ani męzkie, ani nawet damskie kapelusze filcowe, nie są robione z wprawianym w nie małym lusterkiem w ramkach, a mój góral ma taki. Otóż to wygoda — pomysła moje czytelniczki, mieć tak pod ręką zaraz na głowie rzecz najważniejszą, lusterko, aby się przejrzeć, czy grzywka się nie rozpadła i czy pudru nie znać na nosku. Były i wielkie panie, a między nimi jedna, nad której tualetą, jak mi mówił wystawca, pracowała dobra robotnica całe dwa tygodnie, ale też ta dama miała suknię z aksamitu wiśniowego i niebieskiego atlasu, całą, ale to całą, naszytą srebrnymi blaszkami. Obok stał kufer podróżny dużej wielkości, ze wszelkimi szycanami do wygodnej podróży urządzone, ależ tu i cena była jak na zabawkę, nie możliwie wysoka, bo 150 florenów.

Dalej w dużej misce leżały jakieś nieforemne popielate kawalki, a na nich napis objaśniający: „środek do gaszenia ognia; widać to jakieś chemiczne połączenie, nie znoszące ognia, że jednak próby nie widziałam i nie się na tem nie znam, więc też nie więcej nad to powiedzieć nie mogę. Ogromne bryły wosku białego i żółtego dowodzą wraz z wielką ilością fabryk pierników, że pszczolnictwo jest bardzo rozwinięte w Galicyi, za to choć w ładną formę kolumny przybrane mydła, nie podobały mi się wcale. Ślicznym okazem wyrobu i inwencji tapicerskiej i stolarskiej, był fotel składany, niby wygodny szeslong (chaise-longue) sofa; na raz składały się

poduszki i formował się bardzo zręczny zwykły fotel, rzecz praktyczna, ładna i tańsza, od owego śmiesznie przecenionego kufra.

Spotkaliśmy się także z czarnym łubkiem, nowym zupełnie produktem, twardym jak marmur, z którego wystawca krakowski wystawił prześliczne drobne wyrobu rzeczy, między innymi popiersie arcyksięcia Rudolfa i jego żony.

Praca kobiet w głównym pawilonie, wiele miała przedstawielek i to chlubnie świadczących, o postępie produkcyjnej pracy galicyjskich kobiet. Pierwszym tej pracy okazem, jaki spotkałam, był śliczny malowany piec kaflowy. Dalej z robót ręcznych oglądałam, zupełnie nowy dla mnie rodzaj haftu na jucie: portierey, dywany, naśladowujące jakoby tkaninę, robione ścięgiem Holbeina, którego to haftu mnóstwo wzorów podajemy ciągle w piśmie naszym. Seminaryum artystyczne przemysłowe żeńskie, istniejące w Krakowie, pod dyrekcją pani Buñe, kierowniczką i założycielką kiedyś takiegoż zakładu u nas we Włocławku, zaprezentowała bardzo obficie swe prace: bogate ornaty kościelne, serwety i obrusy salonowe, śliczne stoliki, albumy, pularesy malowane na aksamicie, atlasie, lub też sposobem gobelinowym, dla nas nowym zupełnie, na drzewie, porcelanie i szkle, a wszystko bardzo piękne i doskonale wykonane. Poduszka na suknie strzyżoną robotą, wpadła mi w oczy, jako prześliczna, lecz trudno jest wyliczać wszystkie te hafty i malowania ręką kobiet galicyjskich wykonane i przyznać jednak muszę, że dział ten bogato był reprezentowany. Między koronkami nie zabrakło i naszych warszawskich. Pochodzą one z bezpłatnej szkoły koronkarskiej pani Gabrielowej, która pracując bezinteresownie dla dobra ogółu, zasługuje na uznanie najwyższe, nie odnoszące się już do wartości wyrobów jej szkoły, ale do samej jej założycielki.

Skończywszy tu pobieżny nasz przegląd głównego pawilonu, wchodzimy do dwóch bocznych stanowiących chwałę Galicyi; jeden z tych pawilonów mieści przemysł drobny domowy, drugi szkoły przemysłowe pod protektoratem sejmu krajowego. Otóż w tym kierunku zostaliśmy tak bardzo w tyle po za Krakowem, bo u nas bardzo mało kto się tym opiekuje, a oprócz hr. Stanisława Zamojskiego i całej jego rodziny, którzy się w szczupłym zakresie trudnią podniesieniem przemysłu domowego, jak tego mieliśmy próbki na Wystawie przemysłowej w r. 1885, nikt u nas ręki do tego nie dołoży. Od niedawna pan Zawadzki w dobrach swych Kutnie, rozwinął fabrykę drzewnych tkanin, której okazy i w Krakowie widzieliśmy; stanowi to pewien krok dalej na tej drodze, bo daje znowu możliwość rozwijania dalej w tym kierunku drobnego przemysłu.

Wystawa drobnego przemysłu przedstawia wszystko, co mniejszy rzemieślnik wiejski zrobić może, oraz wyroby z polewanej gliny, pięknie deseniowane. Desenie te wykonywają się bardzo prostym sposobem przez lejek, jak my kobiety tutką papierową polewamy torty, i mazurki, tak tu zdobią różnokolorowe miski i dzbanki. Jestto sposób bardzo dawny, gdyż przed 100 już laty, znane były piękne garnki i miski z pod Krakowa, berlinkami do Warszawy sprowadzane. Inaczej się ma z wyrobami ceramiki na sposób majoliki wyrabianej w szkołach przemysłowych, gdzie pod kierunkiem specjalistów chemików, farby są dobierane właściwie, a roboty prowadzone sposobami najnowszego postępu, przedstawiają okazy majoliki krajowej, której wyrób bardzo szeroko jest rozwinięty w szkołach, pod protektoratem krajowym będących. Wracając do przemysłu domowego, spotyka się w tym pawilonie roboty ikackie najrozmaitszych rodzajów z bawełny, lnu, konopi, a nawet czystej wełny, jak derki na konie, sukno na burki i t. p. Płótna przedstawiono całemi sztukami, na które składało się aż 200 gospodarzy; ta solidarność w pracy bardzo nam się podobała, bo u nas w Królestwie nie podobnego zrobił się nie daje. Mnóstwo prac ciesielskich i bednarskich, odrobionych z największą czystością rysunku; wyro-

by tokarskie, ślusarskie, koszykarstwo bardzo silnie reprezentowane, kożuszki góralskie męzkie i kobiece, ślicznie odrobione, ze skóry białej lub żółtej, wyszywane jedwabiami, lamowane skórka i podszyte białymi jak śnieg barankami, co jest zadziwiającą rzeczą, że górale noszą owe kaftany krótkie zwane „kilinkami“, latem futerkiem na wierzch, zimą na spód, mówiąc, że im tak w nich chłodno w lecie, a ciepło w zimie. Ten sam rodzaj wyrobów przedstawiły szkoły przemysłowe, tylko w wyższym już rozwoju, bo pod kierunkiem ludzi specjalnych i tu już mniej zadziwia dokładność i sposób wyrobu, ale ów przemysł domowy, dokonywany przez samouków, wprawia widza w zdumienie. Wystawieniem tych pełnych przyszłości okazów, zajmował się hr. Włodzimierz Dzieduszycki.

W pawilonie szkół przemysłowych, spotykamy już wyroby w zupełności dobrze wykonane; owe szkoły wyrabiające majoliki, są doprawdy zadziwiające, np. taca i dzbanek, wyrobione w tak zwanej stacyi doświadczalnej farb w Kolumy, pod kierunkiem pana Krycińskiego, oceniona na 1000 fl. (trochę za drogo), a ofiarowany księciu Rudolfowi i jego małżonce, były przepyszne, a co za wielka ilość okazów. W szkole koszykarskich wyrobów widzieliśmy nawet szafę zamykaną na zamek z plecionej słomy, a co za suknie, okrycia, czepek, kapelusze, dywany wełniane po 50 fl., co nam się wydało za drogo. Nie skończylibyśmy wyliczać, czego tam nie było, w tym mnóstwie wyrobów ludowych, a przecież należy się jeszcze słówko wyrobom szkół zakonnych. Szkoła snycerska, choć ładne przedmioty przedstawiła, jednak z małym wyjątkiem nie doszła jeszcze do tej fantazyi, różnorodności, elegancji, lekkości, a co więcej taniości, jaką celują wyroby szwajcarskie; daję tu przykład: kupiłam w Szczawnicy dwa małe wazoniki ażurowo wyrobione, z kieliszkiem szklannym wewnątrz do wody na kwiatki za 50 centów, czyli w rzeczywistości za 2 złote, jeżeli nie będziemy liczyć według dzisiejszego kursu rubli, otóż w Zakopanem nie można by nie dostać za tę cenę, chyba gruby zwyczajny nóż do papierów.

Co do szkoły koronek, przeciw tej słowa wyrzec niepodobna, na same tylko pochwały zasługują, tak dyrygująca p. Sztelerówna, dziś p. Neuzilowa, jak wszystkie okazy pracy koronkarskiej. Śliczne, pełne gustu, rozmaitości tak w deseniach, jak w wykonaniu koronki i tanie, są chlubą tej szkoły. Uważamy za zbyt kłopotliwe robienie owych „duchesów“, po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt fl. za metr, które pomimo że wyrób wart tyle, w dzisiejszych czasach mało są kupne. Tyle jest ślicznych imitacji, a tak wiele tych koronek się używa, że tylko ludzie zupełnie bogaci, mogą nabywać prawdziwe koronki. Drobniejsze wyroby dla swej praktyczności w praniu i mocy, zawsze będą poszukiwane. Zadziwiającym objawem ogólnej dobrej wiary w Galicyi, zwracającym moją uwagę, był, że przy bardzo obszernie wystawionym dziale koronek, nie było nikogo, który by specjalnie go doglądał, a tyle drobnych, nęcących oko sztuczek koronek, leżało tu i owdzie; widocznie nie potrzeba tam pilnowania. Ogólne wrażenie wyniesione przezemnie z Wystawy jest, że nawet najgorzej usposobieni nie mogą zaprzeczyć, że nie spodziewano się, aby Galicya tak często ganiała i pomawiana o zastój i brak produkcji, wystawiła tyle tak dobrych okazów.

Lucyna Cwierzakiewiczowa.

## KORESPONDENCYA.

P. Anne Orzech... w Jarmolińcach.

Na zapytanie pani, odpowiedź znajduje się w Nr 25 pisma naszego: „Przyczynek do robienia likierów“, jak również w odpowiedzi w tejże kwestyi, zamieszczonej w Nr 36 Bluszczu.

Pani Zofii W.

Dziękuję za przepis, który, po wypróbowaniu podam. Co do książki o robotach — to trudność w opisywaniu jest wielka, dlatego najlepiej to w praktyce przekazywać trzeba jedno pokolenie drugiemu.